№ 11. Warszawa, dnia 3 (15) Marca 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

Rozdział I.

Paweł St. do Franciszka S. w Berlinie.

Na Pokładzie parowca „Orzeł" 12-ta godzina w nocy.

Wcale mnie to niezmartwi drogi mój Franciszku, jeżeli przerazi cię miejsce z którego list ten datuję, i sądzić będziesz że nie gdzieindziéj lecz do Ameryki płynę, gdyż z tego wzruszenia wniosę że mnie zawsze po dawnemu kochasz. A gdy przypomnisz sobie z jakim uporem nalegałeś w Berlinie na rozstanie nasze, z jaką ukrytą radością patrzyłeś gdy opuszczałem to miasto, i z jak niemiłosiernem szyderstwem życzyłeś mi szczęścia na nowéj mojéj siedzibie, to pojmiesz że takim brakiem serca zrażony powziąłem szalone postanowienie, które mnie w nieznane światy pędzi! Bądź przekonany że odpowiedzialnym cię czynię za te wszystkie cierpienia, które w krainach Lotofagów i Cyklopów już zniosłem i znosić będę, a nie czyń mi zarzutu jeżeli upoważniony mojem nieszczęściem, w objęciach Kalipsy zapomnę o tobie. Kto zgadnie jaka bogini czy kobieta zamieszkuje tę świętą wyspę na którą jutro rano zawiedzie mnie Gustaw, a która przez kilka tygodni ma być Szerią moją? Wszak coś pełnego tajemnic, zwiastującego szczęście, brzmiało w wyrazach „a więc do jutra!" które ziewając cicho wyrzekł przed chwilą, i osłoniwszy świecę ręką zniknął w drzwiach kajuty.

Widzę jak marszczysz czoło gniewnie i przysięgasz nie przeczytać ani jednego słowa daléj, jeżeli w mowę moją natychmiast większego nie wprowadzę ładu, a przede wszystkiem nie powiem co mają z sobą za związek: Orzeł, Gustaw, i tajemnicza wyspa.

Oto, tak się mają rzeczy. Dzisiaj rano siedzę w mojéj pracowni pogrążony w tak głębokiéj melancholii, w jakiéj z konieczności musi być ten kto wśród pełni lata ma przed sobą osiem tygodni wakacyi, a inaczéj ich użyć nie może, jak zamknąwszy się w swoim pokoju, z samobójczym zamiarem w duszy, zapracowania się w stosie książek wynoszących kilka stóp kubicznych.

Daremnie na drzewach przed mojem oknem wesoło świegotały ptaszki, daremnie białe chmurki żeglujące po poranném błękicie nieba, wabiły mnie do wyjścia: daremnie figlarny wietrzyk wesoło przewracał mi kartki i o kwitnących łąkach, falujących łanach, i cienistych głębinach lasu opowiadał: wszystko to było na próżno! o naturze nic wiedzieć nie chciałem, niemając jednego ludzkiego serca obok siebie z którém mógłbym uwielbiać jéj cuda, i cieszyć się jéj wspaniałością! Koniec końców, niech kto chce mówi, lecz człowiek bez człowieka obejść się nie może, a w tedy nawet gdy w napadzie hypokondryi chroniąc się przed ludźmi uciekamy do natury, musimy jednak ożywiać ją ukochanemi postaciami, lub nawet tworami naszéj wyobraźni, by wkrótce nie wydała nam się umarłą i pustą.

Podczas gdy goniłem daléj za temi myślami, i wzdychając rozważałem, jak nieraz nawet najlepsza książka niedostatecznym jest zastępcą miernych zalet, lecz lubianego przez nas towarzysza, i za przykładem króla Filipa błagałem Opatrzności, by mi zechciała zesłać człowieka który mógłby mi pomódz dźwigać ciężar nadchodzących tygodni... naraz, w przedpokoju usłyszałem żywą rozmowę, prowadzoną pomiędzy zrzędnym głosikiem mojéj gospodyni, najsurowszy mającéj rozkaz odprawiać każdego nowego przybysza, a nizkim głosem męzkim, który widocznie, nie zdawał się chętnie godzić z tym rozkazem. Ponieważ bas ten wydał mi się głosem znajomym, a prócz tego już od pięćdziesięciu dziewięciu minut żałowałem danego przed godziną mizantropijnego zakazu, uczyniłem wielką niekonsekwencyą, drzwi otworzyłem i wpuściłem do mego sanktuaryum mojego kuzyna Gustawa. Wszak przypominasz sobie Gustawa, gdy przepędzał w Berlinie zimowe półrocze w celu złożenia egzaminu, który miał to nielitościwe dziwactwo że się złożyć nie pozwolił.

Może go sobie przypominasz, być jednak może że go nie pamiętasz, bo nie jest on wcale nadzwyczajnem zjawiskiem. Należy do liczby tych ludzi, z którymi z chęcią przebywa się godziny, dnie nawet całe, a zapomina się łatwo gdy się go z oczu traci. Należy on do rzędu tych, których lubić możemy o tyle, o ile się lubi wygodne domowe ubranie, nie szczyci się niem, zrzuca się je gdy gość nadejdzie, lecz gdy go już nie ma z chęcią na to wygodne zamienia się choć i strojne ubranie. Z téj to przyczyny byłem tak uszczęśliwiony widząc tego poczciwego człowieka, jak gdybym podczas czteroletniego rozłączenia, codziennie myślał o nim i prawdziwie wstydziłem się mojéj obojętności gdy ją porównałem z udziałem jaki on brał w mojem życiu, i aż tutaj do mojéj pracowni dotarł, tak, że ja jemu prawie nic, on zaś przeciwnie dużo miał mi rzeczy do opowiadania. Nie wiedziałem nawet że jest od dwóch lat żonatym! Następnie zwierzył mi się iż zaniechał wszelkich marzeń o świetnéj przyszłości, wyrażając się naiwnie, że dla ojca rodziny, egzamin jest nadto śmiałym, niepewnym krokiem, przy którym tę trochę domowéj przewagi jaką się posiada, łatwo utracić można, a głównie że podobne młodzieńcze wysilenia są niestosowne dla jego wieku. Mówił daléj, że żona wniosła mu ładny majątek w posagu, on zaś ze swego skromnego stanowiska,

tytułu Baggerinspektora, który jakby umyślnie dla niego stworzony, zadowolonym jest zupełnie.

— I tak, ciągnął dalej, prowadzę życie spokojne, bez trosk, podobnie jak Wilchelm Tell przed trzecim aktem połowę czasu pędząc na wodzie, połowę na lądzie, na sposób amfibiów. Tego właśnie lata flotyla moja stoi u wejścia do wązkiéj ciaśniny oddzielającéj nasze wybrzeże od wyspy.

Na pytanie czy również żonę i dziecko powierza zwodniczemu żywiołowi, zapytał czy nigdy nic o „*Nedur*" nie słyszałem. Gdy przecząco potrząsłem głową objaśnił mnie, że przy wejściu do przesmyka, pomiędzy wyspą a wybrzeżem, leży maleńka wyspa „*Nedur*," nazwana tak przez bogów i śmiertelników, i służy jako miejsce pobytu dla wielkiéj ilości ptaków morskich i niewielkiéj liczby ludzi.

Wymieniona wysepka jest niezmiernéj ważności dla wszystkich handlowych narodów, jest to bowiem najdogodniejszy ale jedyny punkt, jaki mądry rząd mógł w téj części wód wyszukać, na założenie stacyi sterników: lecz że szczególniéj na stronie wschodnio-północnéj, morze widoczną pokazuje skłonność pochłonięcia wysepki ze wszystkiem co się na niéj znajduje, on jednak przez różne wysoko sztuczne wodne budowy, dokłada starania aby ją zabezpieczyć, czego się z tem większą podjął gorliwością, że w domu komendanta bawi czasowo jego rodzina.

— O przesiedleniu się twojem z niemiłego Berlina tutaj, słyszałem od Bernharda, i gdybym był miał czas po temu, dawno już byłbym do ciebie przypłynął. Wszakże w okręgu stu mil jesteśmy jedyni z rodziny, a mojem zdaniem, krewni powinni trzymać się razem. Czyby to źle było gdybyś rzeczy swoje spakował, i przepędził u mnie wakacye? Wielkich przyjemności obiecywać ci nie mogę; ale, czego się wahasz? Czy nie miałbyś ochoty?

Z żałosną miną wskazałem na stół mój, obciążony papierami i książkami.

— Przecież te szpargały możesz zabrać z sobą, jeżeli bez nich żyć nie potrafisz.

— A twoja żona?...

— Prawda! o mało żem nie zapomniał!

I z potężnego pugilaresu wyjął elegancki liścik w którym moja nowa kuzynka Klementyna, teraz dopiero dowiedziałem się o jéj imieniu, w kilku serdecznych wyrazach prosiła o ile możności o jak najdłuższe odwiedziny, przyczem zapewniała o uprzejmym przyjęciu ze strony jéj jednorocznego synka, który nietylko przypadkowo był imiennikiem moim.

Pytam więc ciebie, czy ja, który przed chwilą z Freiligratowskim sentymentalizmem tęskniłem za istotą na któréj łonie mógłbym złożyć głowę moją, czy ja, przy całéj ciekawości poznania młodéj mojéj kuzynki, która już z tych kilku słów wydała mi się niezrównanie miłą, mogłem pozostać nieczułym? Dodaj do tego myśl ponętną kilkotygodniowego pobytu nad morzem, a zrozumiesz że pozostać zimnym na tyle dowodów tak bezinteresownéj przyjaźni Gustawa, byłoby to postąpić sobie nieuprzejmie, nie po przyjacielsku, nie po ludzku nawet?!

W parę godzin późniéj płynęliśmy już na pokładzie Kutteru, tak Gustaw nazywał dużą łódź żaglową, oczekującą na nas w W. nadbrzeżnéj wiosce, która, jak ci wiadomo, jest portem naszego miasta. Tylko mil cztery mieliśmy do przebycia, wiatr dął wprost z zachodu tak jak nam było potrzeba, i sądziliśmy że jeszcze zanim słońce zajdzie staniemy na miejscu naszego przeznaczenia. Ale Poseidon odrzekł inaczéj. Najpierw zachodowi umilknąć rozkazał, a wschodowi mocniéj głos podnieść, przyczem nastał ogólny spokój żywiołów znany pod nazwą morskiéj ciszy, którą o ile zna dobrze żeglarz, o tyle jéj nie cierpi. Co do mnie wszystko mi było dobrem. Jak długo wiatr dął cieszyłem się widokiem pysznéj pianą uwieńczonéj fali, miałem tyle do czynienia uważając na niebo, na morze, i wybrzeża, na ogorzałe twarze dwóch majtków, na ptaki morskie, które płoszyliśmy w naszym szybkim biegu, iż nawet nie starczyło mi czasu aby otworzyć mego Homera, którego umyślnie miałem pod ręką, by na marginesach notować różnicę między tegoczesnem a starożytnem żeglowaniem. Gdy ku zachodowi wiatr się całkowicie uspokoił, a złoty wieczór spłynął spokojnie i wspaniale na wzburzone morze, tak dalece byłem już zdolnym marynarzem, że staremu majtkowi przy sterze, godzinami całemi pomagałem w kierowaniu ciężkiego wiosła, podczas gdy Gustaw spał smacznie w kajucie.

Gorliwie pracując dążyliśmy daléj. Było postanowione że przy tak spóźnionéj godzinie do wyspy nie przybijemy, tylko o ćwierć mili daléj, dopłyniemy do baggerflotyli. Niezadługo z ciemności wynurzyło się kilka olbrzymich postaci na kotwicy stojących okrętów, i my także rzuciliśmy kotwicę. Pomiędzy Gustawem a ochrypłym głosem dochodzącym z pokładu najbliższego nas okrętu, zamieniono słów parę, potem nadpłynęła łódź po nas, ujrzałem ciemną ścianę okrętu, bardzo niebezpieczną sznurową drabinę, skromnie przez latarnię oświetlony pokład wielkiego statku, kręte schodki i nareszcie ładną obszerną kajutę, pracownię i jadalnię Gustawa podczas miesięcy letnich które tu przepędza. W téj to kajucie, przy dużym dębowym stole, piszę ten nieskończony list do ciebie, podczas gdy Gustaw w byłéj damskiéj kajucie starego parowca, w błogim śnie spoczywa i marzy może iż się znajduje w objęciach młodéj swojéj żony, a mojéj nieznanéj kuzynki. Co do mnie, daremnie starałem się usnąć. Wszystko tu dla mnie było nowością, kilka szklanek marynarskiego groku, który wypiliśmy na dobranoc, wreszcie serdeczna ochota pogawędzenia z tobą, odganiały sen ten ode mnie. Raz jeszcze wyszedłem na pokład. Od wschodu świtał już słaby brzask dnia nowego, wiatr podniósł się na nowo, i cicho pluskały fale o ścianę okrętu. Wśród ciemności błyszczało światło od strony wyspy, od czasu do czasu dochodził nas wrzaskliwy krzyk wodnego ptactwa. Teraz dopiero uwierzyłem. że niepojmowałem pierwéj, ambrozyjskiéj nocy Homera!

Jak sądzisz, czy nie byłoby dobrze, zanim jeszcze siła członki. a odwaga serce osłabi na lat parę, na los szczęścia w świat daleki się puścić? Tyle wiem tylko że gdybym nie był doktorem filozofii, to byłbym rad zostać chłopcem okrętowym.

Dobranoc!

Rozdział II.

— Ty śpiochu! już po raz drugi zawracają promy, rzekł Gustaw, ubieraj, się czemprędzéj i wychodź na pokład!

Gdy w kwadrans potem Paweł znalazł się na pokładzie, w pierwszéj chwili nie widział nic, nad wodę i niebo. Nieskończony obszar pomarszczony był w długie jednostajne fale, błyszczące w porannem słońcu; dysząc i sapiąc wkroczył poczciwy statek w nurty wody, pruł je potężną swą piersią i zdawało się iż robi mu przyjemność gdy ta. lub owa fala w kształcie kroplistego deszczu, spadała na barki jego.

Temu poczciwemu statkowi nie musiało być po myśli, ciągnąć za sobą dwa płaskie olbrzymie baty, uczepione do niego potężnemi linami, i po sam brzeg napełnione morskim piaskiem; pogrążyły się one tak głęboko w wodę że nieprzywykłemu oku Pawła wydawało się że lada chwila pochłonie je morze wraz z nawpół nagiemi ludźmi stojącemi na wierzchu. Podwójny ślad który koła statku ryły na wzburzonych falach, podobnym był do dwóch olbrzymich wężów o wyginających się grzbietach, a daléj po za niemi wysoki czarny komin rzucał cień długi i tajemniczy.

Teraz dopiero uczuł się Paweł na pełnem morzu, w państwie ciemnowłosego Poseidona. Wczoraj dopóki było jasno, nadto był blisko brzegu, wprawdzie i teraz jeszcze niezupełnie ląd zniknął ale został gdzieś daleko! Od wschodu z głębi wód wynurzył się niebieskawy przylądek wielkiéj wyspy. Kraj Faekon podobnie wydać się musiał synowi Laertesa gdy wysoko uniosła go fala, i jak *tarcza* zbawcza ukazała mu się wyspa.

Chcąc na zachodzie dojrzéć wybrzeża stałego lądu, musiał się Paweł uciec do perspektywy, a co się tyczy małéj wysepki, z któréj wczoraj światło latarni błyszczało, a pozostającéj teraz blizko o pół mili po za niemi, to łatwo uchodzić mogła za grzbiet wieloryba. Tymczasem statek się zwrócił i wraz z dwoma wielkiemi łodziami dopłynął do miejsca w którem one zrzuciły swój ciężar, i uniesione falami dążyły do Baggerflotyli, która pomiędzy miejscem tem a Nedurem na pół drogi stała.

Nareszcie zmuszony kilkokrotnem wołaniem Gustawa, udał się Paweł na tył okrętu gdzie już na nich czekało śniadanie, złożone z różnych dobrych rzeczy: stary Steward z podwójnym podawał je pośpiechem, a wpręd*c*e Paweł okazał apetyt jaki nie byłby zrobił wstydu żadnemu z towarzyszy Odyssea, a nawet samemu wspaniałemu męczennikowi.

— No! i jakże podoba ci się na Orle? zapytał Gustaw.

— Tak, że więcéj podobać by mi się nie mogło, gdyby to nawet był „*Ptak skała*" we własnéj swojéj osobie.

— Wy poeci, jesteście szczególniejsi ludzie, rzekł Gustaw z uśmiechem, wprawdzie dnia pierwszego i ja prozaiczny człowiek myślałem tak samo.

— A czyż tą pięknością i wspaniałością można kiedy oczy i duszę nasycić?

— Gdybyś tak jak ja co dnia przez całe miesiące tę samą drogę z do Baggeru tego oto miejsca, a z tąd napowrót do Baggeru nie wiedzieć ile setek razy zrobił, nie dziwiłbyś się że nie podzielam twojego zachwytu i z pewnością nie byłbyś mi podobnego zadawał pytania.

Paweł stał zamyślony, a Gustaw ciągnął daléj spokojnie.

— Bo widzisz, co się tyczy saméj roboty, to chociaż pozornie wydaje się bardzo zawikłaną w gruncie rzeczą jest zadziwiająco prostą, a gdy pogoda sprzyja sama idzie jak z płatka.

— A gdy pogoda nie sprzyja?

— W tenczas wszystko najgorzéj: jeżeli się promy same o siebie nie rozbiją, jeżyli Bagger i statki nie zerwą się z kotwicy, jeżeli jednem słowem po burzliwéj nocy wszystko się znajdzie na swojem miejscu, wtedy szczęściem to nazwać można!

— Ależ to musi być prześlicznie! zawołał Paweł z zachwytem, taka burzliwa noc na morzu, to życzenie do którego wzdycham od dwunastego roku życia mego, od chwili gdy po raz pierwszy czytałem Robinsona!

— Co ja to nie, odparł Gustaw zapalając cygaro i wyciągając nogi przed siebie. Już wolę monotonność spokojnych wód, chociaż i ta jak mówiłem, do rozpaczy człowieka przywieść może!

— Gdy jednak nic innego do czynienia nie masz, to możesz czytać, studyować, duża kajuta jest jak gdyby umyślnie na bibliotekę stworzona!

— Kiedy widzisz, nauka nigdy nie była moją słabą stroną, i z książką nie jestem w wielkiéj przyjaźni.

— Zapewne częstym gościem jesteś na Nedurze, lub może żona odwiedza cię tutaj?

— Co to, to nie, gdyż musiałbym być w obawie by w krótce ogorzali towarzysze moi również nie sprowadzili tutaj żon swoich i kochanek! A niestety! rzadko przewożę się na drugą stronę, bo choć niekiedy niewiele mam do czynienia, zawsze jednak zajęcie się znajdzie, a do tego przekonałem się że ile razy mnie nie ma, zwykle się tutaj coś złego przydaży.

— W takim więc razie nie mała cząstka nudów, dostaje się w udziale mojéj kuzynce.

— No! Klementyna ma malca, a kobiety Bóg wie jak one sobie radzą, dość że zawsze umieją się zająć a nadto ma jeszcze towarzystwo Heddę!

— Któż to jest Hedda, czy jéj służąca?

— Nie! jest ona córką starego Waltera.

— A któż jest stary Walter?

— Czy nie wiesz, wszakże jest komendantem sterników!

— I on ma córkę?

— Tak, czy nie mówiłem ci o tem?

— Nie, w jakim jest wieku?

— Ma lat dwadzieścia lub dwadzieścia dwa, jest o rok starsza czy młodsza od żony mojéj, która ma dwadzieścia i jeden.

— Czy ładna?

— Moja żona?

— To się samo przez się rozumie, ale Hedda?

— Tego doprawdy nie wiem—nigdy się nad tem nie zastanawiałem.

— Wzorze małżonków, ta odpowiedź charakteryzuje ciebie! Ładną więc nie jest, a do tego i gąską wszak prawda?

— Oho! za daleko idziesz! Wychowaną była na pensyi razem z żoną moją, gdzie cały świat nazywał ją mądrą Heddą.

— To już brzmi lepiéj. Zapewne czytuje z ochotą?

— Do tego stopnia, że rozum jéj mógłby niejednego przestraszyć.

— Czy i matka jéj jest rozumną kobietą?

— Jéj matka nie żyje.

— Biedna dziewczyna, jak dawno ją straciła?

— Lat temu kilka. Od téj chwili żyje Hedda przy ojcu, i zaledwo raz na cztery tygodnie opuściła Nedur.

— To zapewne będzie tak melancholiczną jak Heinego ta owa blada niewiasta ze skalistego wybrzeża Szkocyi. Czy i ona gra również na harfie?

— O ile wiem to nie; ale gra na fortepianie, lecz może ci to wystarczy.

— Czy śpiewa?

— Śpiewa.

— I dobrze?

— Zapytaj o to pana von Elze.

— Któż to jest ten pan von Elze, jeżeli zapytać wolno? —

— Jest pomocnikiem.

— W mieście gdzie była na pensyi?

— Nie, na wyspie.

— To daje mi do myślenia... Czy może i wojsko macie na Nedurze?

— O nie! dzięki Bogu!

(*d. c. n.*)

Zapusty na poddaszu.

Zimno w izbie, chleba nié ma,
I dzieciątko płacze,
W duszy boleść cicha, niema...
Możeż być inaczéj?

Dzień już trzeci mróz doskwiera
I zadymka miecie,
Z chłodu w piersi głos zamiera...
Jak tu żyć na świecie?

Wiater wyje, dach rozrywa
I w okienko stuka,
I kaganiec dogorywa..
Kto nas tu odszuka?

Miasto ludne, domów wiele,
A śród nich, jak w lesie..
Dreszcz przebiega po mém ciele,
Wątek myśli rwie się...

Dzień nieprędko; noc zimowa
Wlecze się powoli...
I tępieje biedna głowa
W smutku poniewoli...

Cóż ja pocznę o téj porze,
Lube dziecię moje?
Kto nas wesprze, kto pomoże,
Gdy nas tylko dwoje?

Wołać?... prosić?... Trudna rada...
Choćbym rada z duszy,
Nędzne ciało z sił opada,
Wiater jęk zagłuszy...

Nie płacz, dziecię... luli, luli...
Matka cię odzieje,
Zakołysze i przytuli,
Własném tchem ogrzeje...

W ciepły szalik cię zawinę—
W resztkę lepszéj doli—
Tylko nie płacz me jedyne,
Główka cię rozboli...

Nie płacz, złotko... Przed obrazem
Światełko rozniecę,
I ukląkłszy z tobą razem,
Bogu cię polecę...

I jęczała i płakała,
Tuląc dziecię, biedna...
I ocknęła się, i wstała,
Lecz już tylko—jedna. .

Kostniejącą, drżącą ręką
Trupa przycisnęła,
I znużona długą męką,
Siadła... i zasnęła...

Dzień już trzeci, słonko świeci,
Błyszcząc w śnieżnéj bieli...
Tłum się roi po zamieci,
Miasto się weseli...

Toć zapusty—czwartek tłusty—
Sam wir karnawału;
Taniec raźny i śmiech pusty,
Nęcą do zapału...

To też huczno i wesoło,
Salon tchnie rozkoszą,
Skoczny mazur pędzi w koło—
Pary się unoszą...

Na poddaszu tylko cicho,
Nawet w czwartek tłusty...
Któż tak smutnie i tak licho
Spędza swe zapusty?

Pan odźwierny w drzwi zapukał
I nastawił ucho...
Próżno słuchał, próżno stukał,
Bo w izdebce—głucho...

Dr. Rudolf Rozniatowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

X.

Hrabia *Stella* miał postawę imponującą. Nietylko że z bliska widziany nic nie stracił, ale nawet zyskał wiele. Był to mężczyzna w sile wieku, niepośledniéj urody. Czarne jak heban włosy skręcały się niedbale na pięknéj jego głowie i łączyły się z gęstym zarostem brody. Ciało miał białe pięknie wymodelowane, profil grecki, i duże piwnego koloru oczy, w których malowało się spokojne ale głębokie uczucie. Gęste wąsy ocieniały usta, które okrążał wyraz pewnéj dumy. Cała postawa jego i ubiór staranny chociaż wcale bez pretensyi, okazywały człowieka wyższéj sfery towarzyskiéj.

Eliza postąpiła kilka kroków na środek salonu i zatrzymała się przed gościem z widocznem wzruszeniem.

Hrabia *Stella* obejrzał się po salonie.

— Przepraszam *comtesse*, rzekł pięknym francuskim akcentem, myślałem że... zastanę także jéj rodziców.

Głos byłego nieznajomego sprawił na Elizie szczególne wrażenie. Często słyszała w wyobraźni swojéj mówiącego nieznajomego, ale rzeczywistość przewyższyła jéj oczekiwania. Być może, że niezwykły nastrój jéj umysłu to sprawiał, ale w téj chwili była przekonaną, że tak mógł tylko mówić, Romeo do Julii!

Czuła na twarzy gorący rumieniec i szybko pochyliła głowę, aby choć w części ten rumieniec ukryć a przynajmniéj nie tak prędko go okazać...

— Moi rodzice, odrzekła z drżeniem, mogą wnet nadejść... niech pan tymczasem spocznie.

I wdzięcznym ruchem ręki, która przed okiem gościa błysnęła nowym niewidzianym jeszcze przez niego wdziękiem, wskazała na aksamitny fotel, siadając sama na drugim.

Hrabia stał chwilę jakby się wahał. Patrzał z pewnem niepospolitem upodobaniem na młodą kobietę jaśniejącą w całéj pełni wszystkiemi wdziękami młodości i urody.

Eliza spostrzegła to i nieznacznie się uśmiechnęła. Zdawało się, że ten uśmiech przypomniał gościowi zaproszenie młodéj pięknéj kobiety. Zbliżył się do fotelu, ale zdawało mu się że ten fotel zablisko stoi drugiego fotelu, odsunął go więc trochę daléj i usiadł.

Chwilę trwało milczenie.

— Może to i lepiéj że panią samą zastałem, ozwał się hrabia, rozmowa nasza może mnie prędzéj doprowadzić do celu, w jakim tu przyszedłem.

— Poznaję ze słów pana, odpowiedziała Eliza z przytomnością, którą w części już odzyskała, poznaję ze słów pana, że założyłeś sobie pewien cel...

— Och pani, czemże jest życie nasze bez celu?

— To prawda...

— Wszak to cel jest owem słońcem, do którego dążąc ogrzewamy się tymczasem w jego promieniach...

Eliza spuściła oczy, bo hrabia w téj chwili głęboko w nie zajrzał...

— Jakto? ozwała się nieśmiało Eliza bawiąc się koronką brukselską, czy dotąd żyłeś pan bez celu?... Czyż to być może?

Przy ostatniem zapytaniu podniosła do połowy oczy. Hrabia spotkał się z jéj wzrokiem.

— Czy pani o to pytasz tylko dla siebie? zapytał.

— Dla siebie, odpowiedziała Eliza.

— Nie powiem, odparł po krótkim namyśle hrabia, jakobym dotąd żył bez pewnego celu... był on zawsze przede mną, tylko był w mgle przyszłości zakryty, jak zwykle każdy nasz ideał!

— Piękny zaiste cel... jeżeli tym celem jest nasz ideał!

— Czy mogłaś pani przypuszczać, że dla mnie są jakie inne cele życia?... Ale może słusznie trafia mnie ten zarzut ze strony pani, gdyż sposób w jaki się do pani zbliżyłem zbacza nieco od rutyny światowéj. W ciągu jednak naszéj rozmowy to się wyjaśni.

— Nie wątpię o tem... mogę nawet po części przeczuć to wyjaśnienie!

Eliza miała przy tych słowach uśmiech lekkiego dowcipu na ustach.

Dziwne wrażenie sprawił ten uśmiech na gościu. Ruszył się jakby od iskry elektrycznéj na fotelu.

— Pani przeczuwasz? zawołał z ożywieniem i spojrzał na nią badawczo.

Eliza zaczęła się znowu bawić koronką. Mimo tego uroczego zakłopotania, które w takiem położeniu jest najpiękniejszym wdziękiem młodéj dziewicy, widać było na jéj twarzy ów uśmiech pewnéj świadomości wdzięków swoich, charakteryzujący kobietę dojrzałą.

— Czyż pana to zadziwia, odrzekła, że serca kobiece coś przeczuć mogą?

— Prawda... powinienem był właśnie na tem przeczuciu budować moje nadzieje...

— Może to być jednak gruntem bardzo niepewnym... chciałam tylko powiedzieć, że można coś przeczuć, ale ztąd jeszcze nie wypływa, aby te przeczucia zgodne były z naszemi życzeniami!

Uśmiech uroczy, który zarazem groził i obiecywał, dokończył tych słów Elizy.

Hrabia widocznie posmutniał. Nakrył czarną rzęsą swoje oczy i spuścił je ku ziemi. Eliza mogła teraz patrzéć na niego bez przeszkody. Korzystała z tego z niemałem upodobaniem. Hrabia wyglądał teraz rzeczywiście bardzo dobrze. Na jego męzkiéj twarzy przesuwały jakieś smutne myśli, któremi właśnie w téj chwili był zajęty. Dodawało to niemało uroku jego rysom regularnym.

— Napominasz mnie pani, ozwał się nie podnosząc oczu, abym w życzeniach moich nie zapędzał się zbyt daleko. Już samo to ostrzeżenie, które może być czasem tylko fałszywym alarmem dla wypróbowania żołnierza, sprawia mi nie małą boleść! Proszę bardzo niech pod tym względem ma pani litość nade mną!

— Tak mało masz pan odwagi? podjęła szybko z czarodziejskim uśmiechem Eliza, a gdyby rzeczywiście przyszło w drodze do życzeń swoich, przełamać i zwalczyć wiele przeszkód?...

Z dumą wyprostował się hrabia.

— Gdyby tylko chodziło o walkę, odrzekł z ogniem w czarnych oczach, gdyby po téj walce czy raczéj po odniesionem nad przeszkodami zwycięztwie obiecana mi była nagroda, do któréj dzisiaj tak gorąco wzdycham... to ze ślepą odwagą rzuciłbym się w samo czeluście piekła!

Hrabia miał teraz bardzo piękny wyraz twarzy. Widać było, że czuł to w głębi duszy, o czem mówił.

Sprawiło to na młodéj kobiecie wielkie wrażenie. Czuła że traci w téj chwili przytomność umysłu, która była jéj bardzo potrzebną. Rozsądek nakazywał panowanie nad sobą, bo w takim tylko razie mogła panować nad tym, który w téj chwili był przed nią.

Odetchnęła głęboko aby wzruszonemu sercu ulżyć i zmusiła usta do konwulsyjnego uśmiechu.

— Nie zawsze mości hrabio, rzekła, idą słowa w parze z naszemi czynami. Słowa piękne są wprawdzie czasem przedsionkiem do czynu, ale często podobne są one do owych kulisów malowanych, po za któremi zamiast ogrodów i pałaców są szare płótna listwami z drzewa podtrzymywane!...

Hrabia z uwagą spojrzał na mówiącą. Po jego czole przesunął się cień jakiś niemiły. Chwilę tak patrzał na nią.

— Jeżeli słowa pani mam wziąść na seryo, ozwał się, to wnoszę z nich, że panią źle poinformowano. O nic nie jest tak łatwo jak o ludzką złość. Ona nie może znieść żadnego widoku szczęścia nawet, choćby to szczęście było dopiero w sferze marzenia!...

Roześmiała się Eliza.

— Po cóż tak głośno... marzyć? rzekła. Pocóż tak zaraz okazywać ludziom, że się nie jest szczęśliwym lub że się do szczęścia pewnego dąży?...

— Spodziewam się, podjął szybko hrabia, że nie wykroczyłem w niczem przeciw potrzebnéj w takim razie delikatności, która każe nam szanować opinią ukochanéj osoby?...

— Nic panu w tym względzie nie zarzucam!

— Chociaż chętnie wyznaję, że mimo wszelkiéj ostrożności i czuwania nad sobą można czasami wyjść po za granice pewne, z czego zaraz obojętny spektator skorzystać może. Ale w takim razie powinno to być raczéj zasługą niżeli winą. Czasem największy niewolnik formułek światowych nie może zapanować nad sobą, jeżeli serce jego przepełni się ponad brzegi...

Eliza nieznacznie westchnęła i oczy na ziemię spuściła.

— Pan mówisz jak obwiniony, rzekła, a tego nie widzisz, że przed panem nie ma... prokuratora!

— Wiem dobrze o tem, z uśmiechem odpowiedział hrabia, ale właśnie chodzi mi o to, aby słowa moje doszły do prokuratora, jeżeli kiedyś jako obżałowany będę musiał stanąć przed nim!

— Czy pan się tego obawiasz?

— Obawiam się tylko... niespodziewanego wyroku!

Roześmiała się rozkosznie Eliza.

— Przecież od niespodziewanego wyroku, odpowiedziała z uśmiechem, jest jeszcze otwarta droga łaski!

— Pani zdajesz się pocieszać mnie... ale pociecha taka sprawia mi wielką przykrość.

— Dla czego?

— Grozisz mi pani niemiłym wyrokiem, i odsyłasz mnie na drogę... łaski!

— Czyż sama łaska niezadowoliłaby pana w takim razie?

— Na to, co sobie życzę, chciałbym zasłużyć, jałmużna nie przyniosłaby mi żadnego szczęścia! Dla tego może téż i lepiéj się stało, że z panią sam na sam rozmawiać mogę chociaż to w moim planie pierwotnym nie było!

— Widzę, że ten pierwotny plan nie był dobry!

— Uznaję to sam.

— Cóż pan chcesz abym panu powiedziała?

— Wiele, bardzo wiele *comtesse*, to co mi pani powiedzieć możesz jest tak ważnem dla mnie, że nawet obawiam się wprost o to zapytać!

— Widzisz pan, że jestem cierpliwą! z uroczym uśmiechem rzekła Eliza opierając się rozkosznie o poręcz aksamitnego fotelu.

Nastąpiła mała pauza. Hrabia patrzał na piękną kobietę z widocznem upodobaniem. Niedbała jéj poza, malowniczo ułożona draperya świetnego kostiumu, i lekki nieznaczny prawie ruch falującéj piersi, dodawał jéj jakiś urok niezwykły. Urok ten sprawił na gościu widoczne wrażenie. Zdawało się, że z trudnością przychodzi mu wiązać dalszy wątek rozmowy, że opanowało go pewne roztargnienie, które na chwilę pozbawiło go prawie władz umysłowych.

Potarł ręką po czole jakby się chciał ocucić.

— Ostatecznie trzeba się zapytać, rzekł z uśmiechem, bo inaczéj mógłbym zupełnie o tem zapytaniu zapomniéć!

Eliza posłała mu niezmieniając pozy długie wejrzenie.

— Pan chcesz być cierpliwszym ode mnie! rzuciła mu z pewną łagodną złośliwością.

— Chcę tylko moje myśli napowrót skupić.

— Cóż je tak rozstrzeliło?

— Widok... parlamentarza!

Zaśmiała się Eliza.

— Parlamentarza! powtórzyła rozkosznie. może się pan mylisz! Nie zawsze jest parlamentarz przepowiednią poddania się twierdzy!

— Ale za jego pośrednictwem można z nią traktować...

— Słucham!

— Nie potrzebuję powtarzać, w jakim celu jestem dziś u pani.

— Mogę się domyślić!

— Niech pani wierzy, że moje uczucia są szczere.

— Gdybym uwierzyła?...

— W takim razie będziesz pani mogła powiedzieć mi, czy mogę liczyć na wzajemność?

Eliza przyłożyła drobną rączkę do czoła i w połowie nakryła nią oczy.

— Czasami odpowiedź serca, rzekła po chwili, nie jest jeszcze nam samym zrozumiałą!

— Zdawało mi się, że pani jako najbliższa temu sercu wiesz już o téj odpowiedzi!

— Przyznam się, że dotąd jeszcze nie pytałam...

— Czyż to być może?

— Mówię panu prawdę... chociaż nie chciéj pan sobie tego na swoją niekorzyść wytłomaczyć!

— Jesteś przecież pani z nią w takiéj przyjaźni!

— Nie przeczę tego, zawsze lubiłam prawdę!

— Niepodobna, aby ona nie zwierzyła się kiedy pani?

— Kto taki?... Czy prawda?

— Przyjaciółka pani!

— Przyjaciółka?... Mówisz pan w zagadkach!

— Ta blondynka o złotych włosach, która z chorą staruszką codziennie w gondoli się przejeżdża!

— Blondynka?

— Przecież często widuję ją z panią!

Twarz Elizy zmieniła się. Usiadła z powagą na fotelu.

— Czegoż pan życzysz sobie od téj blondynki? zapytała głosem któremu zabrakło dawnego uroku kobiecego.

— Wyznaję pani, że ją kocham szalenie! odpowiedział hrabia z silną melioracyą głosu.

Eliza potarła ręką po czole, jakby z jakiegoś niemiłego snu jak najprędzéj chciała przyjść do siebie.

Hrabia czekał chwilę na odpowiedź.

— Więc pan ją kochasz! rzekła z widocznem wysileniem.

— Kocham ją szaloną miłością! odpowiedział w zapale hrabia, miłością, o której mogłem tylko marzyć w najmłodszych moich latach!...

Nastąpiła znowu pauza. Twarz Elizy zmieniła się do niepoznania. Rysy przedłużyły się, oczy przygasły. Patrzała na mówiącego z wyrazem, z jakim żegna wygnaniec odpływający na okręcie brzeg ziemi ojczystéj!... Ta ziemia była taka piękna i urocza! tyle rozkosznych wspomnień zostaje tam na téj ziemi, tyle słodkich snów wiąże się do jéj gór i gajów uroczych!...

— Pan kochałeś... Flaminię! ozwała się po długiem milczeniu!

— Kocham ją, a panią jako powiernicę jéj i przyjaciółkę zapytuję, czy mogę u niéj liczyć na szlachetne pośrednictwo, jeżeli tego okaże się potrzeba?...

Eliza prawie nie słyszała dobrze tych słów. W głowie czuła szum, jakby morze z brzegów wystąpiło i przez balkon otwarty dostawało się do salonu. W jéj oczach mieszały się przedmioty w jakąś ciemną bezkształtną massę, podobną do téj z jakiéj Bóg świat miał dopiero wytworzyć!... Ani hrabiego ani Flaminii nie widziała w téj czarnéj massie!...

Co za nagłe rozczarowanie! Złośliwe zrządzenie losu rozcięło odrazu całą mozolną tkankę jéj marzeń, i wszystko zmieszało razem jak brudny zwitek szmat podartych i na śmiecisko rzuconych!...

Co gorsza! Nietylko straciła własne swoje marzenia, nietylko może rozstać się z tem wszystkiem, o czem przez tyle bezsennych nocy tak rozkosznie myślała, ale nawet tak zręcznie rozpoczęty plan zbliżenia Maryana do serca Flaminii rozdarł się i upadł w samym zaczątku!

Trudno było o większą i to podwójną jeszcze klęskę! Młoda kobieta czuła się bliską omdlenia. Ściany, drzwi i zwierciadła zataczały się w koło niéj i porywały ją gdzieś z sobą, gdzieś po za balkon, gdzie złowrogo patrzały na nią morskie fale...

Nieznajomy nie kochał się w niéj ale... w Flaminii! Wprawdzie Flaminia była czemś niezwykłem. Jéj złoto-żółte włosy przy nadzwyczaj białéj cerze a szafirowych oczach, jéj wiotka idealnych zarysów postać robiły z niéj niezwykłe zjawisko... ale mimo to jakże bolesnem jest rozczarowanie, że to nie w niéj kochał się hrabia Stella!...

Niejakiś czas trwało takie odurzenie Elizy. Po chwili jakaś szczęśliwa myśl ożywiła nagle jéj twarz bladą. Oczy czarne zaiskrzyły się pewną energią. Złożyła piękne usta do dawnego rozkosznego uśmiechu i czekającemu na odpowiedź hrabiemu posłała długie, sympatyczne spojrzenie, co go widocznie lepszą napoiło nadzieją.

— Nie chcę pana bardzo zasmucać, rzekła dawnym dźwięcznym głosem, ale nie odbieram też panu pożądanéj nadziei. Jak na teraz mogę powiedzieć, że serce mojéj przyjaciółki nie odwzajemniło dotąd pańskiego uczucia... i że gdybyś pan był niecierpliwy i teraz ją o to zapytał, usłyszałbyś wyrok, którego się tak obawiasz. Ale jako więcéj od mojéj przyjaciółki doświadczona kobieta (Eliza spojrzała tutaj dłużéj w oczy hrabiemu) mogę pana zapewnić że w sercu kobiecem dzieją się często bardzo ważne a niespodziewane przemiany. Zależy tylko na tem, aby ktoś życzliwy był przy tem sercu, i w niem zręcznie odżywiał pamięć tego, który w miłości swojéj dotąd nie był szczęśliwy!

— Pani! zawołał hrabia chwytając żywo rękę Elizy, jeżeli już jestem tak nieszczęśliwy, że osoba przeze mnie ukochana nie może mi w téj chwili być wzajemną, to niechże pani nie odmawia mi téj pociechy, że będziesz moją orędowniczką dopóty, dopóki mi szczęśliwsza pod jéj opieką nie zaświeci gwiazda!

Hrabia pochylił się tutaj i na drobnéj rączce Elizy złożył gorący pocałunek. Eliza ścisnęła go lekko za rękę i odrzekła:

— Bądź pan pewny, że potrafię być... jeżeli nie samą Flaminią, to przynajmniéj szczerą przyjaciółką pana i powiernicą! Przychodź pan częściéj do nas... rodzice moi będą panu bardzo radzi... przychodź jak najczęściéj, a ja panu nie omieszkam dawać codziennie biuletyny o naszéj wspólnéj kampanii!

— Jakże pani dobrą jesteś!... Nie odmówisz mi pani także pewnych w takim razie potrzebnych wyjaśnień, a ja postaram się aby i z mojéj strony...

— Późniéj, późniéj o tem! przerwała Eliza z zachwycającym uśmiechem, gdy będziemy razem rozbierać nasze biuletyny. A będzie to dla mnie prawdziwa rozkosz. Wierzaj mi pan!... Jednéj rzeczy się tylko obawiam!

— Obawiasz się pani...

— Obawiam się zbyt szybkiego urwania się na szych biuletynów... zbyt doraźnem zwycięztwem!

— O pani!

— A jeden z najlepszych moich talentów pozostałby w zacieniu... to jest talent, być pocieszycielką nieszczęśliwych!

— Niechże pani jeszcze raz złożę dzięki za tyle dobroci, na które wcale nie zasłużyłem!

Hrabia przyłożył tutaj drobną rączkę Elizy do ust swoich i trzymał ją dłużéj nieco jak na zwykłe dziękczynne pocałowanie wystarczyćby mogło.

Eliza z ukrytym uśmiechem patrzała przez ten czas w oczy nieszczęśliwie kochającego hrabiego...

Gdy za chwilę sama już była, zbliżyła się szybko do zwierciadła i spojrzała na siebie.

Zwierciadło okazało jéj piękną z zarumienioną twarzą kobietę, w oczach któréj zapalała się jakaś myśl rozkoszna. Na ustach igrał uśmiech złośliwy, ale złagodzony jakiemś przyjemnem wewnętrznem wzruszeniem, które wyrażało się w całéj postaci.

Stała tak chwilę przed zwierciadłem a na jéj twarzy rozlewało się coraz większe zadowolenie. Wreszcie roześmiała się głośno jakby na widok tryumfu, który kiedyś odnieść miała, a który dotąd musiał być zamknięty w ciasnéj klatce... marzeń ludzkich...

(d. c. n.)

Korespondencya Zagraniczna.

Londyn 12 Lutego.

Niepewny rezultat wojny afgańskiéj. Powrót do cel protekcyjnych. Bezrobocia. Stowarzyszenie tramps'ów. Cyganie. Zamierzona reforma praw. Zmniejszenie się bogactwa narodowego. Plama na słońcu i jéj skutki. Składka na mieszkańców wyspy Pitkairu; ich tęsknota do swoich jałowych skał. Nagroda dla szybkobiegaczy. Środki w celu zapobieżenia pijaństwu. Pani Molloy. Życie publiczne lorda Beaconsfield. Małżeństwo republikańskie.

(Dalszy ciąg).

Téj Anglii, tak spokojnéj i pewnéj siebie, zagraża obecnie straszna plaga jaką stanowi tajemnicze stowarzyszenie tak zwanych „tramps“ czyli włóczęgów powstałych skutkiem ustania robót w wielu fabrykach i kopalniach. Jak wiele innowacyi wywołujących rozprzężenie i buntowanie się przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, włóczęgoskie te stowarzyszenia zawitały tu z Ameryki, gdzie zaczęły przybierać tak groźne rozmiary, iż rząd zmuszony był wydać przeciw nim oddzielne prawo i pobudować dla nich w miastach domy schronienia, gdzie im dostarczają pracy i gdzie pozostają zamknięci do czasu uznania władzy. Zapewnie przypominają sobie Czytelnicy, że w Ameryce tacy „tramps“ napadli w Pensylwanii na pociąg kolei żelaznéj, zabrali wszystko co się zabrać dało, grożąc śmiercią podróżnikom którzy chcieli stawiać opór. To dało powód Stanom Zjednoczonym do przedsięwzięcia przeciw nim surowych środków ostrożności. Jeżeli rząd królowéj Wiktoryi nie przedsięweźmie zawczasu odpowiednich środków, włóczęgoskie te stowarzyszenia mogą się tak rozzuchwalić jak po za Atlantykiem, bo dziś już dzienniki powtarzają skargi i przerażenie spokojnych mieszkańców wsi, wystawionych na napady tych włóczęgów, zmuszających do podejmowania ich w domach swoich i dostarczania im czego zażądają, gdyż inaczéj wystawieni są na zemstę i prześladowanie całego stowarzyszenia.

Niedawno, wesołe i dobrane towarzystwo, umyśliło zjechać się na śniadanie w lasku Holay, leżącym tylko o kilka mil (angielskich) od Londynu. Zaledwie zasiedli do przygotowanéj uczty, przypadła gromada tych wstrętnych włóczęgów, zbliżyła się do stołu i zaczęła rozchwytywać zastawione przysmaki. Nie mogąc stawić skutecznego oporu kilkakroć liczniejszym napastnikom, zebrane towarzystwo zmuszone było opuścić lasek i odjechać, a hałaśliwa tłuszcza spożyła zastawione śniadanie, wydając dzikie okrzyki i śmiejąc się z uciekających biesiadników.

Odosobnione fermy są szczególniéj wystawione na ich napady. Jeden z takich fermierów podał do miejscowego dziennika, że raz pozostał sam w domu podczas gdy ludzie jego byli w polu, wtem nagle banda obdartych ale silnych i wypasionych włóczęgów, opadła go wołając aby im natychmiast dał co jeść. Cóż miał robić! Wziął ze śpiżarni co było mięsa i słoniny, ale kazali mu aby im je sam przysmażył i zaniósł do sadu pod drzewa w których cieniu się rozsiedli, a podawszy posługiwał im do stołu. Gdy zjedli wszystko, zażądali fajek i tytuniu, a skończywszy palić, odeszli śmiejąc się z drżącego gospodarza, mówiąc z urąganiem że na podziękowanie za gościnne przyjęcie, polecą dom jego wszystkim członkom swego stowarzyszenia i ci pewnie omijać go nie będą.

Ta emigracya „tramps'ów“ od wsi do wsi, od miasta do miasta i nakładających wszędzie po drodze najrozmaitsze kontrybucye, przenosi społeczeństwo w najbardziéj barbarzyńskie czasy i słusznie bardzo żywy niepokój budzi w rządzie. W ciągu paru ostatnich lat pauperyzm znacznie zmniejszył się w miastach, ale cóż kiedy jednocześnie nowy ten rodzaj nędzy postępujący z podniesioną głową i wyzywająco urągający władzy, zastraszająco rozszerza się po wsiach.

Na domiar złego znaleźli się filozofowie i ekonomiści broniący tak niecnéj sprawy, pragnący rehabilitować i usprawiedliwiać stowarzyszenie „trampsów.“ Do takich należy niejaki Mikołaj Smith, pułkownik amerykański, zięć zmarłego Horacego Greeley. Chcąc dobrze poznać tych włóczęgów, przyłączył się do jednéj z ich band trapiących Chicago, i oznajmia że większa część byłych jego towarzyszy byli ludźmi dobrze wychowanymi, a wielu było pierwéj nauczycielami, inżynierami, podmajstrami, mechanikami i rzemieślnikami uzdolnionymi w różnych rzemiosłach, dobrymi obywatelami i ojcami rodzin i ogólnie szanowanymi: dziś stali się niecnymi włóczęgami, odtrąconymi przez społeczeństwo, znienawidzeni i pogardzani przez współziomków. To najpocieszniejsze iż z tego wszystkiego pułkownik Smith wyprowadza wniosek iż Opatrzno-

ściowem zadaniem tych włóczęgów, jest odrodzenie rodzaju ludzkiego, przez zupełną reformę praw społecznych. Dowodzi on że wszelkie zło jest wynikiem przewrotnej zmyślności ludzkiéj. Człowiek obmyśla i wynajduje przeróżne maszyny i narzędzia; i tak wymyślił np. maszyny do szycia mogące wprędce dostarczać setki tysięcy koszul, ale dotąd daremnie ludzkość oczekuje wynalazcy, któryby odkrył sposób aby każdy pracownik miał na koszulę. On pierwszy rozwiązuje to zadanie: „trzeba, mówi, wszystkie nieuprawne, czyli raczéj zanadto uprawne grunta, jak parki, spacery, ogrody, zwierzyńce, i t. p. rozdać tym których wymagania przemysłowców i handlu pozbawiły sposobu do życia.“ Pułkownik Smith jest jednym z przedstawicieli nowéj szkoły ekonomicznéj, któréj zasady przerażająco rozkrzewiają się od pewnego czasu, a zmierzają wyraźnie do rozdziału gruntów.

Wprawdzie przyznać trzeba iż na kraj tak prawie nadmiernie zaludniony, grunta nieuprawiane zajmują, szczególnie na północy, nader rozległe obszary, a w Szkocyi wielu właścicieli wydalili swoich dzierżawców i chłopów, całe grunta zamieniając na pastwiska, gdyż nie ulega zaprzeczeniu, że w wielu okolicznościach barany większe niż ludzie zapewniają korzyści. Suche i jałowe grunta szkockie wydają tak małe plony, iż nie są w stanie wyżywić coraz zwiększającéj się ludności, i to powód że całe klany higlandów emigrują do Kanady lub do Australii. Parę lat temu, cały klan Macdonald wyemigrował do Queensland, opuszczając uroczyście rodzinną ziemię, pod wodzą młodego swego naczelnika, który odpłynął z Greenoch w mroźny zimowy poranek. Każdy niósł narzędzia swego rzemiosła, a poprzedzali ich „pipers“ czyli muzykanci w paradnym stroju, to jest w płaszczu zarzuconym na ramiona, z pękiem wstążek u kolan. Muzykanci grali „pibroch“ hymn pogrzebowy wielkiego naczelnika Machonald'ów, a łzy spadały na pledy; zaś kobiety i dzieci postępowały ze smutnie zwieszonemi głowami, śpiewając po raz ostatni „coronach“ czyli śpiew pożegnalny w języku celtyckim, przekazywany z pokolenia w pokolenie.

Do licznych plag dręczących Anglią zaliczyć jeszcze należy liczne bandy cyganów, wyłamujących się z pod wszelkich wpływów cywilizacyi. Nie są niby jawnie nieposłuszni prawom, ale tysiącznemi sposobami umieją je podchodzić, zkąd wynikają zacięte sprzeczki i procesa. Wynaleźli prosty bardzo środek osiedlania się w miejscowościach jakie za dogodne uznali, i nie ma prawa zdolnego temu przeszkodzić. Zamiast jak dawniéj rozkładać swe tabory z żonami, dziećmi i całym dobytkiem na cudzych gruntach, których właściciele mogli wypędzić ich w każdéj chwili, zakupują różne grunta na własność, rozpinają na nich swoje namioty, żyjąc w nich po swojemu pomimo wyjątkowo mroźnéj tegorocznéj zimy, jak kiedyś naddziadowie ich na gorących piaskach Egiptu. Tak szeroko rozpostarli swe zagony, w kilku wsiach w okolicach Londynu iż mieszkańcy dawniejsi zmuszeni byli ustąpić im z placu. Zatrwożyli się tem właściciele okolicznych villi i kotaży; syndycy parafii w których roztasowali się cygani, zasięgali rady najsłynniejszych adwokatów, w celu zmuszenia natrętnych przybyszów, daremnie. Przywódzca ich Niells odpowiadał na wszelkie wezwania, jak niegdyś ów młynarz z Sans-Souci, że nikt, sama nawet królowa Wiktorya, nie ma prawa wydalić ich z gruntu który za własne kupili pieniądze. Znalazł się jednak jeden adwokat przemyśliniejszy od swoich kolegów, który posługując się prawem przeciw prawu, zaskarżył Niellsa o obrazę moralności i przyzwoitości publicznéj, żądając aby się oddalił od domów w których z jego winy niepodobna było mieszkać. Tak więc król cygański zmuszony był przenieść się z całym taborem na inny koniec swéj posiadłości, zkąd znowu okoliczni właściciele z tego samego tytułu zmuszą go niezadługo do ustąpienia. Tak przeganiani z miejsca na miejsce, może w końcu zmuszeni będą opuścić okolice Londynu.

Mówią tu bardzo, że tegorocznemu Parlamentowi podany ma być wniosek ogólnéj reformy kodeksu, że zajmie się on przejrzeniem wszystkich praw przekazanych przez feudalność, których duch i znaczenie jest dziś niemożebnem do zastosowania w praktyce, z czego wynika, że sędziowie tłomaczą je według swoich indywidualnych pojęć, przez co codziennie w jednakowych sprawach całkiem różne zapadają wyroki.

Najpierw Izba ma się zająć prawem przeciw potwarzy i rozsiewaniu wieści uwłaczających dobréj sławie; następnie zabezpieczeniem własności żon, a daléj nieproporcyonalnością kar. Według praw dotąd obowiązujących, ten kto pobije kogo z uszczerbkiem zdrowia, lub nawet okaleczy go na całe życie, podlega, co najwyżéj, karze kilku miesięcy więzienia, a ten znowu co ukradnie wywieszony przed sklepem jakiś kawałek materyi jedwabnéj czy bawełnianéj, może być skazany na lat kilka więzienia w domach kary i poprawy. Żywe także wywoła rozprawy na wskroś przesiąkłe duchem feudalności prawo o kradzieży zwierzyny; zwolennicy myśliwstwa obawiają się że ulegnie ono radykalnym zmianom. Wielu członków najznakomitszéj szlachty przemawiają jawnie za zniesieniem tego starożytnego, nadzwyczaj surowego prawa, co dowodzi że nawet w arystokratycznéj Anglii, pojęcia demokratyczne oddziaływają na wyższe sfery społeczne.

(d. c. n.)

Kronika Paryzka.

Największy nieprzyjaciel nie może odmówić Francuzom pracowitości. Przymiot ten właśnie stanowi ich siłę i potęgę, oddziałując jednocześnie tak na stronę moralną, jakotéż na dobrobyt materyalny. Niemcy nawet przyznają Francuzom pierwszeństwo na tém polu. Wypadkowo byliśmy świadkami rozmowy robotników niemieckich przybyłych do Paryża, celem pokazania Francuzom jak to się pracuje, a tymczasem, wedle własnego ich wyznania, nie potrafili im wyrównać pod względem szybkości i dokładności roboty.

Rozwinięta działalność na szeroki rozmiar i w najrozmaitszych kierunkach, nie pominęła i części naukowéj, gromadząc na tém polu szeroki zastęp pracowników, z całém przejęciem i gorliwością oddanych obranemu przedmiotowi. Robiąc tę uwagę mamy na myśli nowe dzieło pana E. Sayous, z którego zamierzamy zrobić sprawozdanie, ale przede wszystkiém uważamy za właściwe dać historyą saméj pracy, jako będącéj wzorem wytrwałości i poświęcenia.

W języku francuzkim można znaléźć historye napisane oryginalnie prawie wszystkich narodów zamieszkujących kulę ziemską. Każde z państw szczególniéj europejskich, odpowiednio do swego znaczenia w sprawach ogólnych, znalazło mniejszą lub większą liczbę historyków. Z dzieł dotyczących saméj tylko Anglii, możnaby wytworzyć znaczną bibliotekę. My sami dla poznania szczególniéj ostatnich czasów naszego żywota dziejowego, potrzebujemy chronić się pod skrzydła pisarzy francuzkich, rozumiejących lepiéj naszą przeszłość aniżeli wielu innych cudzoziemców.

Niewielkie stosunki Francyi z Węgrami i aż do ostatnich czasów małe znaczenie polityczne téj narodowości, spowodowało prawdopodobnie pewne zaniedbanie jéj historyi, jakotéż i całych narodów uważanych jako jednostki. Pan Sayous postanowił wypełnić ten brak w sposób o ile możności najdokładniejszy, tak aby nietylko Francuzi i inni cudzoziemcy, ale nawet sami Węgrzy znaleźli klucz do zrozumienia swéj przeszłości.

Wedle utartego już zdania, aby zrozumiéć dokładnie utwory poety, potrzeba poznać przede wszystkiém jego ojczyznę i ludzi zamieszkujących takową. Coś podobnego chociaż z większym jeszcze naciskiem, można powiedziéć o cudzoziemcu, chcącym pisać historyą ludu różnego od niego pochodzenia. W tym wypadku teraźniejszość jest tym przedsionkiem, wiodącym do wielkiego gmachu nazywanego przeszłością. Potrzeba przede wszystkiém poznać język narodu którego dzieje chcemy opisać, następnie jego literaturę w najobszerniejszém znaczeniu tego słowa, zwyczaje i obyczaje nietylko wyższych ale i niższych warstw społecznych, a dopiero zejść do źródeł malujących czasy ubiegłe.

Praca nadzwyczajnie mozolna, przerażająca niejako swoim ogromem, wiodąca jednak nieomylnie do poznania prawdy, i dająca jedynie możność wytworzenia we wskazanym kierunku, dzieł prawdziwie pożytecznych.

Pan Sayous chcąc napisać historyą Węgier poszedł właśnie drogą wskazaną. Nauczywszy się dokładnie po węgiersku, co połączone było z trudnościami ogromnéj wagi, osiadł następnie w Peszcie aby wniknąć o ile możności w życie domowe i publiczne mieszkańców, a następnie odczytać i streścić dokumenta i stare kroniki spoczywające po archiwach i bibliotekach. Owocem tych usiłowań były dwie prace odrębne, z których jedna opowiada przeszłość Węgier, a druga ich stan obecny wyprowadzając wnioski na przyszłość.

Dzieła te napisane z niepospolitym talentem i nauką zasługują na obszerniejsze nieco sprawozdanie, choćby ze względu na blizkie sąsiedztwo z ludem wywierającym wpływ przeważny na politykę jednego z wielkich państw europejskich.

Rozwój narodu węgierskiego, przedstawia zadziwiający objaw zupełnego przeobrażenia, tak pod względem moralnym jakotéż i fizycznym. Należąc do wielkiéj rodziny ludów turańskich, dla których w ogóle nieograniczona władza naczelnika jest ostatecznym wyrazem politycznym w sprawach wewnętrznych, prędko bardzo wyrobili indywidualizm, i przejęli się pojęciami europejskiemi, stając jedni z pierwszych w szeregu narodów umiejących zabezpieczyć przywileje i narodowe prawa. Tak nazwana Bulla Złota Andrzeja II, rzucająca podstawy rządu konstytucyjnego, ogłoszoną była jeszcze w r. 1222, to jest w siedm lat zaledwo po angielskiéj Magna Charta, urządzającéj stosunki wzajemne mieszkańców Wielkiéj Brytanii. Pan Sayous nazywa Madziarów ludem najbardziéj elektoralnym na całéj kuli ziemskiéj. Wybory zajmują ich nadzwyczajnie, zaledwie jedne skończone zostały oni już myślą o następnych, układając wcześnie zamiary odpowiednie do swego zapatrywania. W czasie głosowania prawdziwa gorączka opanowywa ich umysły i serca, co często bywa powodem zatargów krwawych, a niekiedy nawet i śmierci zapalczywszych. Słynne wybory angielskie a nawet amerykańskie, nie mogą być jeszcze porównane z węgierskiemi, pod względem gwałtów stronnictwa przeciwnego. Skoro jednak wypadek głosowania jest

wiadomym, milkną bezwłocznie najbardziéj wzburzone namiętności, gdyż góruje zawsze i wszędzie największe poszanowanie woli większości będącéj podstawą konstytucyi. Zaiste w obrazie tym trudno poznać potomków dawnych Hunnów, ulegających bez najmniejszego oporu woli jednego naczelnika, wiodącego ich na rabunki i zniszczenie. Przekształcenie zatem moralne jest zupełne, w dawnéj gromadzie ludów koczowniczych wyrobione zostały trzy główne podstawy ludów rolniczych: indywidualizm, miłość wolności i poszanowanie prawa.

Zmiana powierzchowności jest niemniéj zadziwiającą. Skoro poraz pierwszy Węgrzy zjawili się po nad brzegami morza Czarnego i Dunaju, to brzydotą swą jeszcze może więcéj niż orężem przerazili do najwyższego stopnia mieszkańców, osiedlonych na szerokich przestrzeniach oddzielających cesarstwo Greckie od Niemieckiego. Niekształtne ich twarze przypominały Hunnów, którzy niegdyś w pochodzie swym, przelali zdroje krwi, nazywając się biczami bożemi niosącemi śmierć i zniszczenie. Brzydota Węgrów nie była jeszcze zatartą w wieku XII, ponieważ Othon de Freisingen opisuje ich zupełnie tak samo, jak niegdyś pisarze łacińscy opisywali Hunnów.

„Twarze ich, mówi Jornandes, przerażające czarnością podobne są do kawała mięsa, w pośród którego z trudnością można dojrzéć oczy. Dzikie spojrzenie wskazuje brak uczuć, co objawiają nawet w stosunkach rodzinnych. Tylko co urodzonym dzieciom płci męzkiéj przypiekają twarz żelazem, ażeby najprzód nauczyli się znosić cierpienie. Otrzymane wcześnie blizny nie dozwalają wzrastać włosóm na twarzy, a tém samém jéj szpetność jest tym lepiéj uwydatniona. Chociaż małego wzrostu są jednak silni i jeżdżą konno znakomicie. Mają szerokie ramiona, ogromne głowy i chociaż z powierzchowności podobni są do ludzi, żyją jednak jak dzikie zwierzęta.

Któż w tym opisie poznałby dzisiejszy naród węgierski, którego kobiety słyną z piękności a mężczyźni pod względem rysów twarzy i w ogóle kształtów ciała, nie pozostawiają nic do życzenia.

(*d. c. n.*)

GAWĘDY NAUKOWE.

Kwestya oświetlenia elektrycznego. Iskra elektryczna. Prace Dawy'ego. Stosy galwaniczne. Światło elektryczne. Regulatory. Machiny magneto-elektryczne. Faraday, Wilde, Siemens. Lampy elektryczne. Świece Jabłoczkowa. Późniejsze udoskonalenia. Prace Edisona.

Oświetlenie elektryczne i udoskonalenie przyrządów któreby je praktyczniejszém i tańszém uczyniły, jest, rzec można, głównem zadaniem obecnéj chwili, dla wielu fizyków i wynalazców. W ostatnich czasach znakomite już rezultaty zostały otrzymane, kwestya owa znacznie się naprzód posunęła, ale stanowczego rozwiązania jeszcze nie otrzymała. Rozpatrzmy w krótkości postępy jakie w tym względzie przyniosły prace teraźniejszych uczonych.

Wiadomo że iskra elektryczna jest objawem łączenia się dwóch elektryczności: dodatniéj i odjemnéj, i że to ona stanowi światło elektryczne. Zjawisko to daleko wyraźniéj i wspanialéj się objawia w elektryczności galwanicznéj, to jest w téj którą nieustannie wytwarzają stosy galwaniczne i która obiega po metalowych drutach łączących bieguny stosu. Jeżeli w któremkolwiek miejscu przerwiemy drut po którym prąd elektryczny przebiega, to pomiędzy jego końcami przeskakiwać będzie nieustannie świetlna iskra galwaniczna. Znakomity fizyk angielski Humfry Davy, który bardzo wiele robił doświadczeń ze stosami galwanicznemi, jeszcze w roku 1813 umyślił końce drutów od biegunów stosu idących, zwane *elektrodami*, opatrzéć pręcikami węglowemi, które zbliżywszy do siebie, otrzymał między końcami węgli trwały łuk światła elektrycznego oślepiającéj jasności. Łuk ten świetlny, zwany *woltaicznym*, ztąd powstaje, iż pod działaniem elektrycznego prądu nieskończenie małe cząsteczki węgla się oddzielają i przeskakując od jednego do drugiego bieguna, stanowią jakby pomost dla prądu elektrycznego. Ale przerwa taka stawia opór przepływowi elektryczności, im zaś opór ten jest większy, tém bardziéj podnosi się temperatura, a cząsteczki węgla rozżarzają się aż do białości. Wielkość i długość tego świetlnego łuku może być różnych rozmiarów, zależy to od siły prądu, a także od stopnia rozrzedzenia powietrza. W fizyce znanym jest przyrząd zwany *jajkiem elektrycznem*, w którém powietrze się rozrzadza, a wpuszczona doń iskra elektryczna nabiera znacznie większych rozmiarów aniżeli w miejscu powietrzem napełnionem. Najwięcéj jednak do spotęgowania światła elektrycznego przyczynia się lotność ciał umieszczonych na końcach elektrodów. Gdy węgle napojone zostaną jakiemi bądź ciałami bardzo lotnemi np. solą glauberską, długość łuku świetlnego będzie o wiele znaczniejszą. Cząstki odrywają się w kierunku przepływającego prądu, a więc od bieguna dodatniego ku ujemnemu, ztąd węgiel na elektrodzie dodatnim umieszczony zmniejsza się stopniowo, tak że w końcu na ostrzu jego tworzy się dołek. Gdy przeciwnie drugi węgiel zwiększa się nieco, ale przedział między węglami zwolna wzrasta i staje się tak znacznym że światło gaśnie. To była pierwsza trudność do zwalczenia, drugą stanowiła konieczność używania stosów galwanicznych bardzo silnych, to jest złożonych z wielkiéj liczby ogniw, dla wytworzenia znaczniejszego światła.

Pracowano lat wiele, z jednéj strony aby spotęgować stosy galwaniczne, z drugiéj ażeby w miarę wypalania, stopniowo zbliżać węgle do siebie. Stosy Bunsena, Daniella i innych, w ostatnich czasach zamieniły stos Volty, i w miejsce 2,000 ogniw stosu przez Dawy'ego używanych, dziś dostatecznem jest 50 ogniw Bunsena dla wytworzenia silnego światła. Ale koszt materyałów przez nie zużywanych jeszcze jest za wielki aby światło elektryczne mogło w powszechne wejść użycie.

Przyrząd zegarowy szczęśliwie zastosowany, dał możność zbliżania węgli w miarę ich wypalania, bez udziału ręki ludzkiéj, i tak powstała Lampa elektryczna, rozmaitych systemów mniéj więcéj do siebie podobnych; z tych przyrządów zwanych *regulatorami* najpraktyczniejszemi są Siemensa i Halskego. Te lampy posiadają jeszcze zwierciadło wklęsłe, ruchome, które odbija promienie światła i daje możność dowolnego niém kierowania.

Takie lampy elektryczne pomimo kosztu urządzenia i utrzymania, znajdują zastosowanie w latarniach morskich, w oświetlaniu placów wielkich, w prowadzeniu robót nocnych, i t. p, ale z powodu zbyt wielkich wydatków do oświetlania miast zastosowane być nie mogą.

Szukano więc tańszego źródła elektryczności w machinach *elektro-magnetycznych*. Jeszcze w roku 1831, angielski fizyk Faraday odkrył tak zwaną w nauce *indukcyą*, czyli wzbudzanie prądów elektrycznych przez inne prądy lub magnesy: jeżeli w blizkości zwoju drutu metalowego przesuwamy magnes, zbliżając go lub oddalając od niego, wtedy w drucie powstają prądy elektryczne, dość silne aby wywołać potężne światło. W teraźniejszych więc czasach postęp co do oświetlenia elektrycznego ściśle jest związany z udoskonaleniem machin magnetycznych. Na tém polu Siemens wielką położył zasługę przez wprowadzenie walca indukcyjnego: jest to walec z miękkiego żelaza mający na sobie głębokie wcięcia, w których mieszczą się liczne zwoje cieniutkiego drutu miedzianego; walec leży między ramionami silnego magnesu zgiętego w podkowę, a gdy w szybki obrót zostanie wprowadzony, w drucie powstanie silny prąd elektryczny.

Na téj zasadzie Wilde, lat temu dziesiątek, zbudował niezmiernie silną machinę magneto-elektryczną, urządziwszy trzy seryе takich walców i elektro-magnesów, w których prądy przechodząc z pierwszego walca indukcyjnego na drugi magnes a z drugiego na trzeci, ogromnie się spotęgowują, zwłaszcza przy szybkich obrotach walców, (1,500 obrotów na minutę). Machina Wildego poruszana motorem parowym o sile 15 koni, wytwarza światło elektryczne tak bardzo silne, iż oślepia jak słońce w południe, a światła gazowe wydają się przy niém ciemno-brunatne. Ta potężna machina została wnet zastosowana do wielkich latarń morskich i znakomite dała rezultaty.

Ale i ta machina jest za kosztowną jeszcze, Siemens o wiele ją uprościł, jakoteż i Gramme. Opisywać szczegóły tych przyrządów byłoby zbytecznem, dostatecznem jest znać ich zasadę. W machinach Siemensa następuje zupełna zamiana pracy mechanicznéj, ruchu walca indykcyjnego na prądy elektryczne, magnetyzm bowiem odgrywa w nich rolę podrzędną i dla tego nazwano je *elektro-dynamicznemi*. Odpowiednio do wielkości takiéj machiny, jedna lampa elektryczna przez nią obsługiwana, może wydawać światło równające się w mocy od tysiąca do 15,000 świec, zużywając pracę mechaniczną od jednego do sześciu koni parowych.

W obecnej chwili już światło elektryczne bywa stale używane w wielu zastosowaniach: liczne latarnie morskie rzucają je na dalekie wód przestrzenie, jasno oświetlając wnijścia do portów lub miejsca dla żeglugi niebezpieczne; okręty zaopatrzone są w lampy elektryczne nietylko w celach wojennych, ale także dla oświetlania nieznanych wybrzeży, dawania sygnałów, ładowania towarów nocną porą, i t. p. Wiele dworców kolei żelaznych, duże sale fabryczne, już korzystają ze światła elektrycznego. W teatrach przy jego pomocy wywołują się dziwnie pięknie efekta. Także i roboty inżynierskie dla pośpiechu przy tém świetle bywają nieraz prowadzone.

Dotychczas najbardziéj ujemną stroną oświetlenia elektrycznego była niemożność rozdzielenia światła tego na wiele świateł drobniejszych, jedna bowiem machina mogła obsługiwać dobrze jedną tylko lampę elektryczną, i to niezbyt od niéj oddaloną, tak że wprowadzenie w jeden prąd dwóch lamp jest rzeczą trudną, a trzech zupełnie niemożliwą.

Wynalazek świec elektrycznych Jabłoczkowa, zaradza téj ważnéj niedogodności; w krotkim czasie wielki rozgłos zyskały one. Główna różnica świec tych od lamp elektrycznych w tém się mieści, iż w nich pręciki węglowe nie znajdują się na jednéj linii naprzeciw siebie, ale są równoległe i rozdzielone warstwą odosobniającą; Jabłoczków użył do tego kaolinu (glinka porcelanowa). U góry pręciki tworzące jakby rodzaj świecy prostopadle osadzonéj, połączone są z sobą kawałeczkiem grafitu. Do osady obu pręcików dochodzą druty przeprowadzające prąd elektryczny; pod jego wpływem grafit wnet się rozżarza, a od niego rozpalają się końce węgli, między któremi ustala się wtedy łuk jaskra-

wego światła. W miarę jak zużywają się pręciki, masa kaolinowa stapia się od gorąca; tym sposobem węgle utrzymują się ciągle w jednéj odległości.

Prądy wywołują się za pomocą jakiejkolwiek machiny elektro-magnetycznéj, dotąd najczęściéj używają machiny Gramme'a. Każda świeca Jabłoczkowa daje światło jednostajne, spokojne i piękne, wyrównywające 50 lampom Carcela. Jeden prąd znaczną ich ilość przebiegać może, ale gdy jedna świeca zgaśnie, gasną wszystkie. Jedna świeca pali się półtory godziny, jeśli oświetlenie ma być dłuższe, to wstawić należy drugą świecę; przyrząd bardzo prosty czyni to automatycznie. Nakoniec otoczenie dzwonem ze szkła mlecznego czyni światło przyjemném i nierażącém, choć bardzo jasnem. Widziano już je w praktyce w Paryżu i innych wielkich miastach, próby te się powiodły, ale nie są bynajmniéj ostateczném słowem w tém ważném zadaniu.

Wedermann wystąpił wkrótce potem z lampą która zyskała wielkie pochwały. W niéj jeden z węgli osadzonych na końcach elektrodów wyrobiony jest nie w postaci pręcika, ale zakończony krążkiem dwóch cali średnicy, drugi zaś jest cienkim, zwyczajnym pręcikiem; ten jeden tylko się nadpala i dla tego jest ruchomy, w miarę ubywania podnosi się do góry za pomocą ciężarka. Urządzenie, jak widzimy, bardzo proste, a rezultat ma być bardzo świetny, gdyż Wedermann utrzymuje iż tak pożądane rozdzielenie światła, przy użyciu jego lamp jak najwyborniéj się otrzymuje i jeden prąd 60 świateł zasilać może. W przyrządzie Wedermanna prąd elektryczny nie przechodzi od jednéj lampy do drugiéj, ale się rozgałęzia zanim do każdéj dojdzie, na zasadzie doświadczeń Ohma, które wskazują: że jeśli prąd napotyka dróg kilka, to się na wszystkie rozgałęzia, a jeżeli opór na każdéj drodze okaże się jednakowy, to i siła prądu wszędzie będzie jednaka. Próby z lampą Wedermanna robione były w Londynie: dwie z nich zasilane małą machiną Gramma o sile dwóch koni, dawały piękne światło równające się 320 świecom każda; gdy prąd rozdzielono na lamp dziesięć, każda z nich płonęła jednostajném światłem świec 40. Wielkie zakłady drukarskie dziennika *Temps* w Paryżu, mają być oświetlone temi lampami.

Wspomnieć też należy jeszcze o lampach Rapieffa, podobnych bardzo do świec Jabłoczkowa, tylko bez substancyi odosobniającéj, które w Londynie zostały użyte do oświetlenia olbrzymich zakładów gazety *Times*; oraz o amerykańskich lampach Saweyra i Mana, w których węgiel rozżarza się i tworzy łuk świetlny w walcu szklanym napełnionym azotem, przez co nie wypala się wcale, jak utrzymują wynalazcy, a nadto mają one być przenośnemi, coby dwa bardzo ważne stanowiło udogodnienia.

Pomimo jednak tych tak znacznych ulepszeń i postępów, najwięcéj nadziei budzą prace na tém polu genialnego wynalazcy amerykańskiego, Tomasza Edisona. Oddał się on bowiem z całym gorączkowym zapałem swoim, doprowadzeniu światła elektrycznego do najzupełniéj praktycznego zastosowania, przez dowolne jego rozdzielanie i taniość w wytwarzaniu. Dzienniki amerykańskie donoszą iż prace jego już pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem i że wkrótce cały New-York zostanie oświetlony światłem elektrycznem, tańszem aniżeli światło gazowe. Przyrządy i sposoby jakich Edison używa dotychczas są tajemnicą, mówią że zamiast węgli wprowadza on druciki platynowe. Wiadomo iż druciki takie rozpalają się do oślepiającéj białości; ale też i szybko się topią, musiał więc chyba Edison wynaléźć jakiś sposób uczynienia ich trwałemi.

Jeżeli to co o wynalazku Edisona piszą okaże się prawdziwem, to światło elektryczne wejdzie niedługo w powszechne użycie i zupełnie usunie gazowe, mając nad niém wielką wyższość, przez to iż jest zupełnie białe, nie zanieczyszcza powietrza i temperatury wcale nie podnosi. Są to wielkie zalety na których światłu gazowemu zbywa.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w drugim kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju, w kwartale II roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pa. Wandzie. Prosimy o nadesłanie tytułu powieści, bo w zbiorze innych rękopismów nie możemy jéj odnaleźć a w liście nie było o nim nawet wzmianki.

Prenumeratorce Ż z nad Prosny. Powieść p. t. John Halifax, już była drukowaną w Tygodniku. W każdym razie tłomaczonych powieści nie przyjmujemy, gdyż dodatek redaguje wyłącznie Pani J. Belejowska.

Przyjaciela Dzieci Nr. 11 wyszedł z druku i zawiera:

Derwisze Turkestańscy (z drzeworytem). — Co ja lubię (wiersz). — O wszechświecie. — Pogadanki z Ojcem — Marek Jakimowski. — w Dodatku: Głuptasiki (z drzeworytem). — Do Urszulki (wiersz). — Zegarek mojego dziadka. — Hukanie (wiersz). — Nie kłam nigdy.—Zabawa i nauka (wiersz).—Bombardyer uciekający (z drzeworytem). — Zosia. — Szanuj wszystko (wiersz).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 10 wyszedł z druku i zawiera:

Z praktyki gospodarskiéj. — O Trzebieży. — O uprawie maku, łogowy, maziczki, i wyrabianiu z nich oleju (ciąg dalszy). — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. — Kronika rolnicza. — Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: Do Redakcyi **Tygodnika Rolniczego** *w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Февраля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 11, r. 1879.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Czy to być może! to pani Tiffle! i pani nie lęka się przeziębienia. A to kto znowu? Doprawdy to Shad matki Bean!

Te słowa wyrażające głębokie zadziwienie wyszły z ust lokaja pana Lester udającego się do Danesheldu. Squir Lester i lady Adelajda byli na obiedzie w *Grande Croix*, więc służący mieli więcéj wolnego czasu.

— Tak, przyszedł mnię prósić o trochę maści dla matki Bean, odpowiedziała Tiffle, chowając śpiesznie do kieszeni, papier podany jéj przez Shada; powiada że dziś reumatyzm tak jéj dokucza że siedzi zgięta we dwoje. Czy przyniosłeś słoik. Shadzie?

— Tak jęczy że się prawie dom trzęsie! rzekł zmyślny chłopak, gotów w razie potrzeby rozpłakać się nad cierpieniami matki Bean... A! przepraszam panią bardzo, ale biegnąc tu upadłem i stłukłem słoiczek; łzy zasłaniały mi oczy i potknąłem się o coś.

— Jakiż to nieuważny z ciebie chłopiec! Zaczekaj tu, przyślę ci lekarstwo.

Tiffle posłała mu jakąś imitacyę maści, sama zaś włożyła szal i wyszła pod pozorem że musi iść do Danesheld za interesem pani; nie udała się jednak do miasta lecz prosto do pałacu Dane.

Mistress Eliza Tiffle miała także swoje marzenia. Od dawna już najgorętszym celem jéj życzeń było zostać szafarką w domu tak znakomitym jak lorda Dane, u pana bezżennego, a więc nie bardzo wglądającego w rachunki. Obecna szafarka w pałacu, stara i słabowita, już prawdopodobnie w krótkim czasie będzie musiała zrzec się swych obowiązków i Tiffle miała nadzieję dostać się na jéj miejsce. Gdyby więc nić życia lorda Dane miała być tak nagle przecięta jak tego kazały się obawiać wiadomości przyniesione przez Shada, spełzłaby dla niéj na zawsze nadzieja pozyskania tak znakomitego i zyskownego stanowiska w świecie.

Weszła po pałacu i za pośrednictwem Bruffa prosiła lorda Dane o chwilkę rozmowy.

Lord Dane był sam tylko w sali jadalnéj; zwrócony plecami do bogato zastawionego i oświetlonego stołu, wpatrywał się zamyślonym wzrokiem w płomienie ognia palącego się na kominku. Tiffle!.... Czegóż ona, u licha, może chcieć odemnie, rzekł głośno. Wpuść ją Bruff'ie.

— Ah! milordzie, zawołała Tiffle, zaraz za progiem, podnosząc do nieba ręce i oczy, cóż to za straszny spisek! Zamek ma być zrabowanym, a wasza wielmożność zamordowanym w swojém własném łóżku!

Nigdy jeszcze lord Dane nie miał szczerszéj ochoty do śmiechu! Przyszła mu myśl, że szanowna Tiffle musiała pokosztować trochę za wiele wina swego pana.

— Usiądź trochę, Tiffle, usiądź, zdajesz się w jakiémś niezwykłém usposobieniu.

— Milordzie, może się to wydawać waszéj wielmożności niedorzecznością, bo i mnie zrazu tak się wydało, a jednak jest to wiadomość równie prawdziwa jak Ewangelia.

— Wytłomacz że się jaśniéj, Tiffle.

Usiadła nieśmiało na brzegu krzesełka, odetchnęła i zaczęła opowiadanie składające się z tego co jéj Shad powiedział, i z jéj własnych uzupełnień i dodatków. Tiffle miała wadę właściwą wielu osobom: do wiadomości przechodzących przez jéj usta przyrastało zawsze mnóstwo szczegółów.

Lydney miał dostać się w nocy do pałacu i zamordować jego wielmożność, a wspólnicy jego Ben Beecher, Bill Nicholson i Drake, chcieli jednocześnie i na swój rachunek zrabować srebra. Tiffle musiała parę razy powtórzyć opowiadanie zanim lord Dane zdołał ją zrozumiéć. Obstawała nadewszystko przy tém, że przywódzcą téj wyprawy był pan Lydney.

„Czy słyszałaś to sama? zapytał lord Dane.

— Ja! milordzie? Czyż to ja biegam w nocy po lesie, narażając się na utratę reputacyi!

Lord Dane udał że kaszle aby ukryć śmiech którego nie mógł powstrzymać patrząc na tę twarz tak właściwą dla staréj czarownicy.

— Więc któż to słyszał.

— Tego właśnie nie mogę powiedziéć waszéj wielmożności.

W takim razie lepiéj było nic nie mówić. Jakże chcesz, u licha! abym przywiązywał wiarę do czczych i nieprawdopodobnych pogłosek.

— Milordzie, to nie jest czcza tylko pogłoska! zawołała Tiffle niespokojnie. Trzeba koniecznie zapobiedz nieszczęściu.

— Bezwątpienia, i dla tego też powinnaś wskazać mi osobę która ci to mówiła; inaczéj, zaraz jutro prześlę do pana Lester żądanie aby kazał wyprowadzić śledztwo.

Tiffle nie spodziewała się bynajmniéj podobnego rozwiązania trudności, które jéj było bardzo nie na rękę. Co tu czynić? Nie życzyła sobie wymienić Shada, ale niepodobna się wykręcić; lord Dane niecierpliwił się i patrzył na nią tak surowo.

— Nie mam żadnego powodu, milordzie, ukrywać kto mi to mówił, i wasza wielmożność będzie mógł sam go o to wypytać, tylko... nie chciałabym aby to doszło do powszechnéj wiadomości. Oddaje mi różne drobne przysługi; dam mu czasem przez litość parę pensów, lub stare trzewiki, to też przywiązał się do mnie, i skoro się czego dowie opowiada mi to przy sposobności, tak że nikt się tego nie domyśla. Mam nadzieję że go wasza wielmożność nie zdradzi.

— Możesz być o to spokojną, odpowiedział lord Dane.

— To ten nieszczęśliwy chłopiec, milordzie, który się tu zjawił nagle jakby wyszedł z pod ziemi, tak że nikt nie wie zkąd się wziął i jak się nazywa.. Shad matki Bean.

— Shad!... ten mały hultaj! powtórzył lord Dane. Ale z jego ust nigdy jeszcze nie wyszło jedno słowo prawdy.

Tiffle przysunęła się do stołu i blask świeczników twarz jéj oświecił; malujący się na niéj niezwykły wyraz szczerości i głębokiego przekonania, zwrócił uwagę lorda Dane.

— Shad, w tym razie powie prawdę, i samą tylko prawdę, milordzie, ręczę za tém moją głową. Ma on w sobie mniéj wad a więcéj zdrowego rozsądku niż powszechnie sądzą.

— Dobrze, pomówię z nim. Kiedyż to ci panowie zamierzają swój zamiar doprowadzić do skutku?

— Sami nie wiedzą jeszcze tego, zdaje się że za kilka dni dopiero. Czekają na coś, ale Shad nie mógł dosłyszéć na co. Może przeszkadza im obecnie światło księżyca.

— Bardzo to być może. Przyślij do mnie Shada, i nie wspominaj o tém wszystkiém nikomu w świecie, gadatliwość przeszkodziłaby działaniu sprawiedliwości.

Tiffle uroczyście zobowiązała się do milczenia. Nie życzyła sobie bynajmniéj przeszkadzać działaniu sprawiedliwości, w sprawie która mogła zgubić Lydney'a. Odchodząc już oddała lordowi Dane świstek listowego papieru. Zachowała na koniec najlepszy kawałek.

„Milordzie, jeden ze zbrodniarzy upuścił to na głowę Shada.

Był to sam koniec tylko jakiegoś podartego listu. Lord Dane przeczytał co następuje:

Niepodobna mi dziś widzieć się z wami, ale jutro możecie z pewnością oczekiwać na mnie.

W. L.

„To od Lydney'a, powiedziała Tiffle, widziałam jego pismo na nótach i bileciku do miss Lester. Było tam tylko parę wierszy i chodziło o jakąś książkę, ale charakter był tak podobny do tego jak dwie krople wody. Mogłabym przysiądz na to, milordzie, że W. L.—stanowiące pierwsze litery William Lydney było takim samym cugiem zakończone.

Lord Dane włożył urywek listu do pugilaresu, a Tiffle wyszła, zakończywszy swoją wizytę uwagą: że skoro złożyła tę sprawę w ręce jego wielmożności, już się o nią sama nie potrzebuje troszczyć.

Prawdę mówiąc, jego wielmożność był niepomiernie zakłopotany tą sprawą, i nie wiedział jak sobie ma radzić, a nawet czy może przywiązywać wiarę téj dziwnéj wiadomości? Jaki mógł być powód téj napaści na zamek? W jakim celu chcianoby go zamordować? Pomimo złéj reputacyi trzech ludzi wymienionych przez Tiffle, a trudniących się kradzieżą zwierzyny i przemycaniem wódki, trudno było uwierzyć aby odważyli się na czyn tak niebezpieczny; co zaś do Lydney'a, ten nie wyglądał wcale na mordercę, ani też dopuszczającego się gwałtownych kradzieży. Czém więcéj myślał, tém mniéj rozumiał tę całą sprawę.

Uprzedził siostrę przez Bruffa aby nie czekała na niego z herbatą, a sam wyszedł rozmyślając nad tém, czyby nie zwierzyć się z tém poufnie panu Bent.

Powietrze się zmieniło. Wiatr zwrócił się ku zachodowi i rozpędzał chmury, już od kilku dni pokrywające niebo. Księżyc świecił jasno, a wzmagające się zimno zapowiadało przymrozek.

Zaledwie lord Dane wyszedł za bramę, spotrzegł że ktoś się zbliża do niego nieśmiało i bardzo ostrożnie. Poznał Shada; Tiffle na którą czatował nie-

daleko pałacu, kazała mu iść natychmiast do jego wielmożności.

Lord Dane kazał mu pójść za sobą na drugą stronę drogi, gdzie mógł być pewnym że ich nikt nie podsłucha.

Shad powtórzył swoje opowiadanie, a w głosie jego przebijała niezwykła mu szczerość. Nieodgrywał jak zwykle roli gapia, i lord zadziwiony tak widoczną w nim zmianą, zaczął się zastanawiać że te wiadomości nie zasługują tak bardzo na lekceważenie jak zrazu mniemał. Zalecił chłopcu głębokie o tém wszystkiém milczenie, i przeszedł znów na przeciwną stronę drogi jeszcze bardziej zakłopotany jak przed tém. Najtrudniéj mu było zrozumieć Lydney'a. Czyby ten człowiek był rzeczywiście zupełnym złoczyńcą? Trudno mu było w to uwierzyć. Uważał go raczéj za zimnego i przebiegłego oszusta, żyjącego z różnych szacherstw, ale umiejącego postępować tak zręcznie aby go nigdy nie schwytano na uczynku. Jakiż mógł miéć cel w urządzeniu téj nocnéj napaści. Czy zamierzał wziąść część zrabowanych przedmiotów?... Gdyby chciał go zabić,—ale tego lord Dane nie mógł przypuścić, byłoby mu łatwiéj strzelić do niego w lesie z za krzaka, gdyż nie narażałby się przez to na tak wielkie niebezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, najwięcéj brak powodów skłaniających Lydney'a do tak niecnéj zbrodni, kazał powątpiewać lordowi Dane o prawdziwości téj całéj historyi.

Lord Dane zadawał sobie pytanie: czy ma uwiadomić Bent'a o tém co mu powiedziano. Od pewnego czasu był niezadowolnionym z naczelnika policyi; pomimo że nalegał na niego aby kazał pozdejmować afisze przyrzekające pięćset funtów nagrody, jeżeli pan Lydney nie da mu dostatecznych dowodów że będzie mógł w razie potrzeby zapłacić je ze swych własnych funduszów, przedstawienia jego pozostały bez skutku, i pan Bent nie kłopotał się tèm wcale że nierozważny Ravensbird może stracić tak znaczną sumę, co więcéj Bent... Tu nagła myśl zabłysła w głowie lorda Dane: powody skłaniające Lydney'a! Pan Danesheldu zatrzymał się na drodze i wybuchnął śmiechem. Jak też mógł nie odgadnąć tego zaraz od pierwszéj chwili: *chciał wedrzéć się gwałtem do pałacu, dla wyszukania tam swojéj szkatułki!*

„To jasne jak słońce! że mi też to od razu nie przyszło do myśli? zawołał.

Teraz zrozumiał wszystko. Nie myślano o morderstwie, wyjąwszy w razie gdyby się chciał opierać; tylko zamierzano przetrząsnąć pałac dla wynalezienia téj nieszczęsnéj szkatułki, a szafa ze srebrem miała wynagrodzić podjęte trudy. Lord Dane pamiętał dobrze co Ben Beecher powiedział Lydney'owi o skrytkach istniejących w pałacu.

„Nędznik! szepnął z oczami błyszczącemi gniewem, zasługuje na szubienicę!... Wciągać tych biedaków w tak nieuczciwe i niebezpieczne przedsięwzięcie! A! niegodziwiec! I ci głupcy przyjmowali u siebie takiego człowieka jak równego sobie! i potrafił pozyskać zaufanie Maryi Lester!

Lord Dane uczuł nagle coś podobnego do wyrzutów sumienia. Wszak nie wspomniał nikomu o swych podejrzeniach względem Lydney'a, wszak pokrywał milczeniem nawet złe o którém wiedział już z pewnością, poprzestając na pilném śledzeniu jego czynności, w téj nadziei że go schwyta na gorącym uczynku. Zadawał sobie teraz pytanie czy nie zbłądził postępując podobnie, czy nie zasługuje na naganę..

Inna jeszcze myśl zabłysła mu w głowie, i dziwił się że nie wpadł na nią pierwéj:—Czy ten człowiek nie zamierza skłonić Maryi Lester do oddania mu ręki, aby tym sposobem zagarnąć jéj posag? Czém więcéj zastanawiał się nad tém, tém głębszego nabierał przekonania iż tak być musiało. Wyrzucał sobie swoje występne milczenie względem pana Lester, i nie namyślając się dłużéj, udał się śpiesznie do Danesheld Hall.

Pan Lester i lady Adelajda tylko co wrócili do domu, i Marya była sama w salonie. Powitała go z uśmiechem, podając mu rękę.

„Chciałbym się widzieć z panem Lester, miss Maryo.

— Zejdzie tu za chwilę; ale mogę go uwiadomić o życzeniu pana.

— O! nie trudź się pani, zaczekam.

Marya usiadła, trochę onieśmielona. Odkąd oświadczył się o nią, czuła się zawsze zakłopotaną w jego obecności.

— Gdybym był wiedział że pani dziś sama pozostanie w domu, byłbym tu przysłał Cecylię.

— O! wyszłam zaraz po południu do miss Bordillion, i niedawno wróciłam. Bawiliśmy się w nową grę którą jéj darowano: salonowe treeple-chase. Czy pan zna tę grę?

— Nie. Ile wymaga osób?

— Zdaje mi się że nie ma określonéj liczby. Nas było czworo.

— Pani, miss Bordillion i...

Biedna Marya zarumieniła się czując wzrok jego utkwiony w jéj twarzy. Lord Dane czekał aby mu wyliczyła ręsztę osób.

— Młoda pani James i... pan Lydney, dodała z pewném wahaniem.

Marya przypomniała sobie co lord Dane mówił jéj o panu Lydney, znała swe własne dla niego uczucia, i nie mogła ukryć pomieszania. Spuściła oczy; rumieniec ogarnął nietylko twarz jéj całą ale rozchodził się na szyję i ramiona; ręce jéj drżały nerwowo. Lord Dane pochylił się ku niéj, i rzekł łagodnie:

— Nie chciałbym wyrzec jednego słowa które mogłoby ci sprawić przykrość, miss Lester, ale cieszyłem się nadzieją że posłuchasz méj przestrogi, i będziesz nadal unikać tego człowieka. Trudno byłoby znaleźć gorszego.

— O! nie mów pan tego, milordzie Dane.

Ujął jéj rękę, i mówił daléj z żywością.

— Mówię prawdę, samą tylko prawdę, miss Maryo; a za kilka dni przyznasz sama, równie jak wszyscy w Danesheldzie, że się nie omyliłem. Nie podobna mi obecnie powiedzieć nic więcéj, dodam tylko: nie ufaj mu pani, bądź ostrożną.

Pan Lester wszedł do salonu. Lord Dane prosił go aby przeszedł do jego gabinetu, i tam wyjawił mu swoje obawy co do Lydney'a. Squir troszczący się mało o podobne rzeczy, przyjął tę wiadomość z obrzającą obojętnością. Lord Dane wyczerpawszy już wszelkie inne argumenta, widział się zmuszonym powiedzieć mu, że czas już aby otworzył oczy, jeżeli chce uniknąć grożącego mu nieszczęścia, gdyż człowiek ten stara się tajemnie o pozyskanie ręki i majątku Maryi. Jestem tego pewnym, rzekł na zakończenie, i mogę panu zaręczyć że zamierza doprowadzić miss Lester do jakiegoś nierozważnego przyrzeczenia.

Pan Lester wyglądał jakby rażony piorunem. Chciéć zawrócić w głowie jego córce, i zagarnąć jéj majątek!... Zagarnąć te trzydzieści tysięcy funtów, które oddając doszedłby do zupełnego upadku.

Grube krople potu spływały po twarzy biednego squira.

Lord Dane nie wymówił ani jednego słowa któreby mogłoby ściągnąć jakąś wymówkę Maryi; nie wspomniał wcale o salonowém steeple-chase, i nie zrobił żadnéj wzmianki o zamierzonéj napaści na jego pałac. Nastawał tylko na pociąg tego mniemanego gentlemana do wykradania cudzéj zwierzyny, na jego wątpliwą przeszłość, i kiedy się oddalił, pan Lester był najsilniéj przekonanym że podobny nędznik jak Lydney musi kiedyś skończyć w ręku kata.

Pan Lester zszedł do sali jadalnéj na herbatę, gdzie już czekała na niego żona i córka. Zaledwie usiadł, odezwał się dzwonek przy drzwiach wchodowych, a w minutę późniéj głos pana Lydney. Squir Lester zerwał się z krzesła blady z gniewu, przyskoczył do drzwi, i nie dobierając słów, kazał panu Lydney aby natychmiast wyszedł z jego domu. Lady Adelajda zmieszana, siedziała jakby przykuta do swego miejsca, Marya drżała jak listek. Służący przyciągnięci nie zwykle podniesionym głosem pana, patrzyli ciekawie.

„Co się stało?... Czém tak zawiniłem? zapytał Lydney nie dowierzając własnym uszom.

Ale squir nie myślał się tłomaczyć. Uniesiony szalonym gniewem, krzyczał, tupał nogami, ciskał różne obelżywe słowa panu Lydney, który spokojny i niewzruszony, nie ruszał się z miejsca.

„Miałbym się tłomaczyć! i to komu jeszcze! krzyknął squir. Śmiesz żądać odemnie tłomaczenia!... Oto drzwi, mój panie, jeżeli nie wyjdziesz natychmiast, jeżeli dodasz jeszcze choć jedno słowo, moi służący wyrzucą cię ztąd... I nie ośmielaj się nigdy przestąpić progu tego domu!... Czy nie wyjdziesz?

Pan Lydney stał jeszcze chwilę z głową dumnie wzniesioną, w postawie pełnéj godności, prawie z uśmiechem, jakby się czuł tak daleko wyższym nad podobną zniewagę, że go nawet dotknąć nie mogła. Po tém ukłonił się grzecznie lady Adelajdzie, pochylił z uszanowaniem głowę przed Maryą, blizką już zemdlenia, i wyszedł spokojnie drzwiami, które otworzył już służący. Pan Lester patrzył za odchodzącym z wyrazem prawdziwego zdumienia, bo w téj chwili dopiero uderzyło go podobieństwo między nim, a tym który go oskarżył.

Lord Dane tymczasem wracał do siebie pogrążony w myślach, rozważając jakie środki ma przedsięwziąść z powodu grożącéj mu napaści. Rozdrażniony, zgorączkowany. zwrócił się ku skalistemu wybrzeżu, w nadziei że go uspokoi powietrze morskie. Zatrzymał się na szczycie jednéj skały, wciągając w siebie świeży powiew wiatru, i wodząc oczyma po rozległym krajobrazie, przedstawiającym się wyraźnie przy świetle księżyca. Stał tam zaledwie kilka minut, kiedy zdjęty przerażeniem zadrżał i odskoczył wstecz. Spostrzegł że znajdował się na tém samém miejscu, z którego spadł przed laty kuzyn jego, Harry Dane, i przykro dotknięty tém wspomnieniem zawrócił się i odszedł.

Nie chcąc nadkładać znacznie drogi nie mógł ominąć ruin kaplicy. Księżyc błyszczał jasno, i rzucał smugi światła na rozsypujące się mury, gęste sploty bluszczów i puste otwory okien. Lord Dane nie przestąpił progu tych ruin, od owego czasu, tak już odległego, kiedy młody i zakochany spotykał się tam co wieczór z Adelajdą.

Gdy teraz tam wszedł wspomnienie dni minionych odezwało się żywo w jego pamięci. Ale czy mogło być inaczéj? Wszystko tam pozostało jak dawniéj: szczątki ołtarzy, szare i zimne kamienie grobowe, wilgotny mech, powyszczerbiane i czarne otwory okien. Lord Dane przypominał sobie każde miejsce, każden kamień. Nic się nie zmieniło, nawet cienie padały na też same miejsca.

Stopniowo zaczęły mu się przedstawiać wszystkie

główniejsze wypadki jego młodości, nie jakby jakiś cień przelotny, ale jak pełna życia rzeczywistość jego tak namiętna i głęboka miłość dla lady Adelajdy, potém jéj nagła, niczém nieusprawiedliwiona i niepojęta dla niego zmiana i odmowa, ich wspólna obłuda względem Harrego Dane, i straszna śmierć jego...

Lord Dane zadrżał. Ogarniało go niewypowiedzianie przykre uczucie, ile razy nawiedzało go to wspomnienie, a to samotne to miejsce, zapełnione, według podań ludowych widmami i upiorami, to miejsce, niemy świadek straszliwego wypadku; powiększało jeszcze jego rozdrażnienie. Być może także iż jakkolwiek, niedostępny przesądom, jak każdy człowiek rozsądny, przecież zostawał pod wpływem jakiéjś przykréj dla niego myśli, zamierzał już się oddalić, kiedy ukazała mu się od zewnątrz, w najbliższym otworze okna; jakaś postać ludzka, patrząca wewnątrz ruin,—patrząca na niego, o ile mu się zdawało.

Lord Dane stanął jak wryty, osłupiały, wpatrując się chciwie w tę twarz rysującą się wyraźnie przy blasku księżyca, i w miarę jak rysy jéj uwydatniały się w jego oczach, pot kroplisty pokrywał jego ciało, aż w końcu przytłumiony krzyk wydarł mu się z piersi: była to twarz umarłego—twarz Harrego Dane.

Ta twarz dotykała prawie jego twarzy. Te rysy tak dobrze mu niegdyś znane, widział tam, tuż prawie przy sobie, widział je wyraźnie... tak wyraźnie że nie mógł ich wziąść za czyjeś inne. Okropne uczucie zabobonnego przestrachu kazało mu się cofnąć aż do środka ruin, i rzucił dokoła siebie błędne spojrzenie, jakby wzywał pomocy... Kiedy znów spojrzał w okno, widzenie już znikło.

Odzyskał natychmiast przytomność umysłu i wybiegł przez najbliższe drzwi. Nie było nikogo. Obiegł dokoła ruiny, rozglądał się wszędzie,... napróżno. Nie mogło to jednak być widmo; on widział człowieka! Był tego pewnym, przysiągłby na to! Wszędzie pusto. Nie widać nawet śladu żyjącéj istoty. Gdyby tam ktoś był przed chwilą nie mógłby przejść przez skaliste wybrzeże tak aby go nie dostrzegł... lord Dane uwierzył w końcu że ukazał mu się duch jego kuzyna

Tak, uwierzył!—Był to człowiek dojrzały, praktyczny, rozsądny... co więcéj par Anglii—a jednak wierzył temu, wprawdzie wbrew swojéj woli, pomimo że sam wyśmiewał się z siebie, szydził ze swéj łatwowierności. Wierzył, bo nie mógł nie wierzyć, bo to przesądne przekonanie było silniejszém nad wszelkie rozumowanie.

Wstrząsnął się aby być pewnym że nie śni; zdjął kapelusz i chustkę, otarł spocone czoło, przyglądał się gwiazdom, księżycowi aby się przekonać że nie śpi. Powtarzał sobie że właśnie myślał o Harrym w chwili gdy mu się zdawało że go zobaczył, że wyobraźnia nasza dziwnym podlega złudzeniom. Wszystko napróżno, nie mógł się pozbyć ani przekonania że widział widmo, ani obawy jaką go przejęło, i z gorączkowym pośpiechem puścił się do pałacu.

Bruff stał przed bramą, używając wedle zwyczaju świeżego powietrza. Usuwając się z drogi milordowi, spojrzał na niego, i cofnął się zdziwiony. W téj wyciągniętéj i wybladłéj twarzy, na którą padało światło wielkiéj pałacowéj latarni, w tych błędnych oczach, zaledwie zdołał poznać swego pana.

„Wygląda jakby zobaczył upiora! zawołał mimowolnie.

Szczęściem dla niego, lord Dane tego nie usłyszał.

Rozdział X.

Bankier milorda.

Lord Dane posłał telegram do jeneralnego dyrektora policyi w Londynie, który odpowiadając na niego, przysłał mu natychmiast jednego z wyższych ajentów policyjnych. Kiedy par królestwa wzywa pomocy i opieki władz rządowych, nie każą mu czekać długo.

Ajent, jeden z najzręczniejszych na Scotland-Yard, przybył do zamku Dane nazajutrz rano, i kazał się zaanonsować jako pan Blair.

Był to człowiek przystojny, elegancko ubrany, dobrze wychowany, wykształcony, miły w rozmowie, słowem zupełnie dystyngowany. Nic w nim nie dozwoliłoby się domyśléć czém był w istocie, wyjąwszy może zimnéj uwagi gdy słuchał mówiących i zwyczaj patrzenia z przymkniętemi do połowy oczami.

Miss Dane ciekawa poznać gościa który miał jeść śniadanie sam na sam z bratem, postarała się o to aby go spotkać, kiedy szedł do pokojów przygotowanych dla niego na prędce, i zobaczyła mężczyznę może czterdziestoletniego i wcale przystojnego. Pobiegła natychmiast do brata.

„Mój drogi Godfrydzie, powiedz mi kto to taki!... Czy ożeniony?

Lord Dane odpowiedział na traf na drugie jéj pytanie twierdząco, na pierwsze zaś przebąknął coś niewyraźnie o interesach.

„To zapewne twój bankier z Londynu? zapytała Cecylia, w któréj mniemaniu wyrażenie: interesa miało toż samo znaczenie co: pieniądze.

— Tak, coś podobnego, odpowiedział lord Dane, który nie życząc sobie wcale aby się domyślono rzeczywistego stanowiska pana Blair, potwierdził niejako domniemania siostry.

Miss Dane poprzestała na téj odpowiedzi, i przekonana że bankier milorda oddał mu wizytę, uwiadomiła o tém poufnie swoją pannę służącą, od któréj, jak łatwo się domyśléć, wiadomość rozeszła się po całym zamku, a z tamtąd przeniosła się lotem błyskawicy aż do Danesheldu.

Jedna rzecz tylko dziwiła miss Dane, to jest że śniadanie przeciągało się bardzo. Nie wyobrażała sobie nigdy aby można było tak długo siedziéć przy stole... zwłaszcza bankier!

Jednak to nie śniadanie, ale rozmowa tak się przedłużała. W eleganckim gabinecie, z widokiem na cały Danesheld i morze, lord Dane obznajmiał pana Blair z położeniem rzeczy.

Opowiedział mu jak Lydney został uratowanym z morza, jak upominał się o szkatułkę wydobytą przez nurków, a która zniknęła następnie, jak wcisnął się do najpierwszych domów w téj miejscowości, daléj uwiadomił go o tajemnych jego stosunkach ze złodziejami zwierzyny i przemytnikami, o tém że, jak się zdaje, ma zamiar zagarnąć posag miss Lester, córki squira Lester z Danesheld-Hall, a na zakończenie przedstawił mu najcięższe oskarżenie: zamiar Lydney'a napadnięcia w nocy na jego pałac.

Pan Blair słuchał go milcząc. Może nie rozumiał dobrze potrzeby przywoływania oddzielnego ajenta policyi aż z Londynu, ale nie objawił swego zdania.

„Zdaje mi się że Yung jest inspektorem policyi w Danesheldzie, powiedział.

— Nie. Yung został przeniesionym od pewnego czasu do *Grande-Croix*, a Bent objął po nim miejsce. Ale Bent jest upartym, zresztą może się mylę, ale zdaje mi się że trzyma stronę Lydney'a, i dla tego właśnie zawezwałem pana.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, wasza wielmożność nie życzy sobie zapobiedz napaści na zamek, aby można było schwytać całą bandę na gorącym uczynku.

— Tak jest. Trzeba aby nakoniec wszyscy przekonali się dowodnie o niegodziwości tego Lydney'a, trzeba aby nikt już nie mógł wątpić o tém. Jest więc konieczném aby napad przyszedł do skutku. Przykro mi to ze względu na innych, których oszczędziłbym chętnie; ale nie ma na to rady, muszą być ukarani wraz ze swym przywódzcą. Przyznaję że ci hultaje zbyt często przywłaszczali sobie moje zające i bażanty, stawiali opór moim strażnikom, jednego z nich nawet ranili, prócz tego zajmowali się niekiedy kontrabandą, ale nigdy, nigdy nie byliby zdolni przedsięwziąść podobnego zamiaru: to ten Lydney wciągnął ich do tego.

— Nie mogę dobrze zrozumiéć waszéj wielmożności. Z tego co usłyszałem wypadałoby wnosić, że rabunek nie stanowi dla Lydney'a głównego powodu wtargnięcia do pałacu.

— Nie. To nie jest głównym jego celem. Weźmie zapewne udział w zdobyczy, ale zdaje mi się że idzie mu szczególniéj o wyszukanie téj szkatułki.

— Jednak ten chłopiec o którym mówiłeś, milordzie, utrzymywał że chcą zamordować waszą wielmożność.

— Nie musiał dobrze zrozumiéć, odpowiedział lord Dane bez wahania. Bądź pan przekonanym że byliby uszczęśliwieni gdybym spał spokojnie przez cały czas ich wyprawy, i nie obudził się aż uciekną wraz ze swą zdobyczą.

Pan Blair zamyślił się.

— Czy ten Lydney nie oskarżał cię kiedy, milordzie, o zatrzymanie jego szkatułki.

— Tak, zaraz od pierwszéj chwili, i to w oczy i za oczy. Co do mnie, pewny jestem że ta szkatułka nie należała do niego i nie była mu powierzoną. Zapewne przyszła mu ochota przyznać się do niéj kiedy ją zobaczył na wybrzeżu, tém więcéj że był pewnym iż prawdziwy właściciel nie wyjdzie z morza aby mu zaprzeczyć.

— Jednak ofiarował pięćset funtów nagrody temu kto ją znajdzie, powiedział ajent.

Lord Dane zrobił pogardliwą minę.

— Tak, i korzystając z łatwowierności swego gospodarza, skłonił go do poręczenia za tę sumę. Bent mówił o tém ze mną i przyznał że tak było.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem waszą wielmożność, Bent czynił już poszukiwania w pałacu.

— Tak zaraz po pierwszém zgłoszeniu się Lydney'a. Zezwoliłem na to, bo zdawał się przypuszczać że ktoś z méj służby mógł ukryć szkatułkę—co zresztą byłoby niepodobném do prawdy.

— Dla czegóż Bent nie uwiadomił Lydney'a że czynił ściśle poszukiwania w pałacu?

— Powiedział mu to, tego samego dnia jeszcze.

— W takim razie, wybacz milordzie, ale nie rozumiem czego wasza wielmożność żąda odemnie. Jeżeli Lydney otrzymał od policyi zaręczenie że jego szkatułki nie ma w pałacu, to jakże można przypuścić aby dla wyszukania jéj chciał wdzierać się tu gwałtem?

Lord Dane milczał przez kilka chwil. Nie życzył sobie bynajmniéj rozgłaszać skandalicznych pogłosek. powtórzonych przez Bena Beecher, o kryjówkach istniejących w pałacu, które miały kiedyś służyć panom Danesheldu do przechowywania kontrabandy.

Był o tém najsilniéj przekonany że Lydney chciał dostać się do pałacu dla wynalezienia tych kryjówek, ale nie chciał tego powiedzieć ajentowi.

— Możesz pan być pewnym, odpowiedział z wyrazem najgłębszego przekonania, że głównym powodem przedsięwzięcia Lydney'a jest chęć wynalezienia szkatułki. Nie przeczę jednak że i srebra mogą pociągać go ku sobie.

— Czy milord nie ma powodów mniemania, że ten Amerykanin ma o co złość do niego?

— Nie; wyjąwszy może rozdrażnienia wypływającego ze śmiesznego podejrzenia że zatrzymałem jego szkatułkę... No! wie także iż mam o nim nieszczególne wyobrażenie, Ravensbird powiedział mu zapewne że ostrzegałem go aby mu niedowierzał. Przestrzegłem także squira Lester.

Pan Blair zdawał się namyślać.

— Gdzie jest bióro tutejszéj policyi? zapytał.

— W samym środku Danesheldu. Możemy pójść tam razem.

— Wszak wasza wielmożność spuszcza się zupełnie na mnie co do załatwienia téj sprawy?

— Bezwątpienia.

— W takim razie, milordzie, zechciéj mi zostawić zupełną swobodę działania. Wolę pójść sam do bióra policyi. Najlepiéj będzie jeżeli wasza wielmożność, nie będzie brać żadnego udziału w działaniu.

— Jakiż plan obmyśliłeś panie Blair?

— Dotąd jeszcze żadnego. Łatwo będzie przytrzymać całą bandę podczas jéj napadu na pałac, ale bez porównania trudniéj dowiedzieć się kto jest ten Amerykanin, i jaka była jego przeszłość, a o ile mi się zdaje, milord tego właśnie wymaga odemnie.

— Nieinaczéj. Policya tutejsza potrafiłaby dać sobie radę ze złoczyńcami, schwytać ich na gorącym uczynku, lub wcale nie dopuścić napaści, ale nie jest zdolną odkryć śladów przeszłości Lydney'a.

Pan Blair wziął kapelusz.

— Wasza wielmożność pojmuje to bezwątpienia że nikomu o tém wspominać nie należy, i że nikt nie powinien wiedzieć kim jestem i w jakim tu celu przybyłem.

— To przestroga zbyteczna powiedział śmiejąc się lord Dane. Jesteś, panie Blair, jednym z moich przyjaciół, przyjechałeś do mnie z wizytą.

Pan Blair udał się do miasteczka, i z łatwością znalazł bióro policyi.

Na drzwiach wisiało jeszcze ogłoszenie nagrody wyznaczonéj przez pana Lydney. Pan Blair zwolnił trochę kroku aby je przebiedz oczyma, ale się nie zatrzymał. Najwięcéj go zastanowił opis szkatułki: na środku wieka trzy V. a nad niemi krzyż maltański.

Pan Bent siedział na wysokim taborecie, za przegrodzeniem. Zarząd główny policyi w Londynie odbierał nie raz raporta od pana Bent, i uważano go za bardzo zręcznego ajenta, pomimo niezliczonych błędów ortograficznych i bardzo niepoprawnego stylu. Pan Blair poszedł prosto do niego, i bez ceremonii zaczął zadawać różne pytania dotyczące Danesheldu, jego mieszkańców, i różnych jeszcze rzeczy. Inspektor, który uważał się za ważną osobistość i nie lubił aby ktoś wglądał w jego sprawy, zniecierpliwił się w końcu.

„Radbym wiedzieć, zapytał z gniewem, jakiém prawem wchodzisz pan tak bez ceremonii do mego bióra, i kim jesteś abyś sobie pozwalał mieszać się w moje czynności?

— Mogę to powiedzieć panu, odpowiedział spokojnie nieznajomy. Nazywam się Blair.

—Pan Blair, powtórzył Bent usiłując jednocześnie przypomnieć sobie to nazwisko, które słyszał już kiedyś.

— Ze Scotland-Yard. Przybyłem tu za interesem.

Po tém wyjaśnieniu, inspektor zerwał się z taboreta z lekkiém biciem serca.

— Najmocniéj pana przepraszam!... Nie spodziewałem się... Zechciéj pan przejść do mego gabinetu. Spodziewam się... Jestem pewny że nie ściągnąłem niczém niezadowolnienia zarządu.

— Nie, o ile mi wiadomo, odpowiedział pan Blair wchodząc do gabinetu.

Usiadł, a chcąc przekonać się naprzód czy może za ufać inspektorowi i rachować na jego przezorność, zaczął rozmawiać z nim poufale, nie trzymając się wyłącznie żadnego przedmiotu, a jednocześnie zwracał na niego bystrą uwagę. Dopiero gdy nabrał przekonania że ma do czynienia z człowiekiem pewnym i zdolnym, objawił szczerze cel swéj bytności.

„Teraz, panie Bent, potrzebuję od ciebie objaśnienia. Kto jest ten Amerykanin bawiący obecnie w Danesheldzie, nazwiskiem Lydney?

— Doprawdy, nic zupełnie o tém powiedzieć nie mogę, odrzekł Bent. Nie mogliśmy się od niego nic dowiedzieć. Wygląda na prawdziwego gentlemana, z postawy, ruchów, wysłowienia i obejścia, słowem ma tak pańskie ułożenie iż trudno wątpić że jest wielkim panem. Może jednak to przekonanie wyrobiło się we mnie, z powodu jego uderzającego podobieństwa z Dane'ami.

Pan Blair podniósł żywo głowę.

— Z lordem Dane?

— Tak, jest trochę podobny do lorda Dane, ale więcéj bez porównania do niektórych członków téj rodziny, już nie żyjących. Sądzę że to uprzedziło nas na jego korzyść... Z drugiéj jednak strony zabrał znajomość ze złodziejami zwierzyny i ludźmi używającymi najgorszéj opinii, widuje się z nimi w lesie, nocną porą, mieszka w oberży, i... słowem nie wiemy co o nim myśléć. Jest to bardzo piękny i miły młodzieniec, powierzchowności nader ujmującej, i podoba się wszystkim w ogóle.

— Czy szkatułka była jego własnością.

— Powiada że nie. Jéj strata wzbudza w nim jakąś gorączkową niespokojność, i obiecał pięćset funtów nagrody...

— Kiedy prawdopodobnie nie posiada pięciuset pensów. Gdyby odniesiono szkatułkę i zażądano wypłacenia rzeczonéj nagrody, znalazłbyś się pan w niemałym kłopocie. Ale na prowincyi ludzie są tak nierozważni!

— Jednak co się tycze téj sprawy nie byliśmy tak bardzo nierozważni, odpowiedział trochę urażony Bent. Mam pieniądze.

— Te pięćset funtów! zawołał pan Blair.

— Tak panie, w biletach bankowych. Widząc że lord Dane i niektóre jeszcze osoby mają mi za złe że przyjąłem zaręczenie oberżysty Ravensbird'a, wspomniałem o tém panu Lydney, który też w kilka dni później przyniósł mi pieniądze.

— I sprawdziłeś pan zapewnie że nie są fałszywe rzekł pan Blair.

Bent skinął twierdząco głową.

— Ma się rozumieć że wydałem mu na nie kwit, i może je odebrać skoro zechce cofnąć obietnicę nagrody.

— Lord Dane nie wie nic o tym depozycie?

— Prócz mnie nikt o tém nie wie. Pan Lydney żądał abym to zachował w najgłębszéj tajemnicy. Lord Dane jest przekonany że on już ma swoją szkatułkę, ale...

— Ale nie, mylisz się pan.

— Mogę zaręczyć że tak sądzi.

— A ja mogę zaręczyć że sądzi przeciwnie, odpowiedział pan Blair tonem nie dopuszczającym zaprzeczenia; jeżeli jego wielmożność powiedział tak panu, to musiał miéć do tego jakieś powody.

Inspektor nie chcąc przeczyć zwierzchnikowi nic już nie odpowiedział.

— Czy słyszałeś pan o zamierzonéj nocnéj napaści na zamek? zapytał pan Blair, zniżając głos.

— Nie! ani słowa! zawołał Bent z najgłębszém zadziwieniem. Jaki zamiar?... Czyj?

Pan Blair powiedział tyle tylko o ile to było niezbędném do jego planów. Zdaje mi się że głównym celem Lydney'a jest poszukiwanie szkatułki, dodał kończąc. Kradzież srebra jest tylko dodatkiem. Lord Dane zawezwał mnie właśnie w tym interesie.

— Nigdy jeszcze w życiu nie doznałem równego zadziwienia! zawołał Bent. Lydney miałby wkradać się do pałacu dla zabrania srebra! Ale to niepodobieństwo! Nie mogę tego zrozumiéć.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to ja także nie pojmuję tego, odkąd wiem że złożył u pana pięćset funtów. Przed tém nie widziałem w tém nic tak dziwnego.... Ale jakże tu przypuścić że człowiek wyznaczający pięćset funtów nagrody za małą szkatułkę, i składający na pewność te pieniądze, mógłby dopuścić się gwałtownéj kradzieży?... Cóż tam było w téj szkatułce?

— Papiery.., dokumenta jak przynajmniéj mówił. Zdaje mi się iż był zawsze przekonany że ona jest w pałacu, ale temu nie mogę dać wiary aby dla odzyskania jéj narażał się na więzienie.

— Bądź co bądź, nikt nie może zaręczyć że widział tę szkatułkę w pałacu.

— Nikt prócz pewnego hultaja, nazwiskiem Shad, ale to urwis z piekła rodem; kłamie jak z nót jeżeli mu to do czegoś potrzebne. Zapewnia że ją tam widział, a jak w tym razie to nie wiem dla czego by tak przy tém obstawał gdyby to nie było prawdą. Słowo daję że to wszystko przechodzi moje pojęcie: nigdy jeszcze nie miałem do rozwikłania podobnéj plątaniny!

Pan Blair zaczynał podzielać jego zdanie.

— Gdzie mógłbym zobaczyć tego Shad'a? zapytał. Ma się rozumiéć że chciałbym go spotkać niby przypadkiem.

— O! znajdzie go pan z pewnością w lesie; włóczy się tam nie tylko od rana do wieczora ale i w nocy.

Następnie Bent tak dokładnie skreślił rysopis Shada że trudno go było nie poznać, i pan Blair wyszedł natychmiast aby go wyszukać.

Pan Lester postanowił uwiadomić natychmiast miss Bordillion o tém co mu powiedział lord Dane, i ostrzedz aby zerwała wszelkie stosunki z panem Lydney.

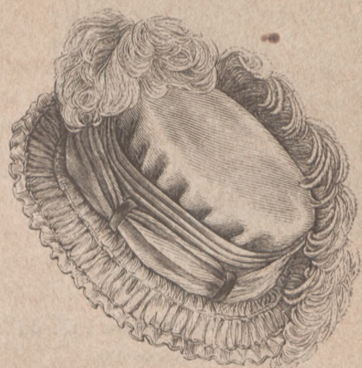
(d. c. n.)



N. 1. Kapelusz biały filcowy do strojnego wizytowego ubrania.



N. 3—4. Stanik ze szmizetką dla młodych panienek. Patrz ryc. 5. Krój na arkuszu Nr. II, Fig. 6—12.



N. 2. Kapelusz z białej materyi do strojnego wizytowego ubrania.

Opis do N-ru 8.

(*Dokończenie*).

N. 23. Suknia z długim stanikiem z kamizelką.

Odrobiona z materyi jedwabnej gładkiej i adamaszkowej, blado niebieskiego koloru. Środek przedniego bryta zajmuje cztery kontrafałdy, do których z boków dochodzi draperya u góry poprzecznie fałdowana u dołu marszczona, kończąca się przy brycie tylnym, ułożonym w kontrafałdy. Dolne przybranie spódnicy z przodu i z boków stanowią dwie falbanki zakończone bufowaniem, na trenie zaś dane dwie falbanki z nagłówkiem po 8 cent. szerokie. Rogi kamizelki podszyte gładką materyą, wywinięte i przytrzymane guzikiem; przy przodach stanika dane gładkie wykłady. Girlandka z jesiennych liści opasuje suknię poniżej kolan.

N. 24. Suknia ozdobiona haftem.

Na czarnej jedwabnej sukni haft może być odrobiony kolorowym jedwabiem, na kolorowej powinien być taki jak tło; stanik ścięty bawetowo z przodu, u góry otwarty podłużnie i dopełniony szmizetką; z tyłu baskina rozchodzi się przy środkowych częściach pleców.

N. 25. Ubranie dla młodej osoby.

Suknia biała muślinowa, włożona na różowej, przybrana 3 cent. szeroką wszywką koronkową i drobniutkiem plisowaniem, zakończonem koroneczką, 7 cent. szerokiem. U dołu sukni dana falbana 20 cent. szeroka ozdobiona wszywką podwieczoną różowo. Stanik bluzkowy z półdługiemi rękawami, ozdobiony poprzecznie wszytemi wstawkami.

N. 26. Suknia z wyciętym stanikiem kirasowym.

Uszyta z kolorowej jedwabnej materyi, ma stanik sznurowany z tyłu, z przodu ozdobiony bufowaniem tiulowem. Tiul tego co materya koloru służy na draperyę i falbanki u dołu sukni. Brzeg stanika i dół przodu otacza girlanda z drobniuchnych kwiateczków. Kokardy atłasowe.

N. 28 i 16. Chustka włóczkowa robiona szydełkiem.

Lekka chusteczka do zarzucenia na głowę lub na szyję



N. 6. Negliżyk muślinowy. Patrz ryc. 7.



N. 7. Negliżyk muślinowy rozłożony płasko. Patrz r. 61. Krój na ark. N. VIII, Fig. 27.



N. 5. Szmizetka do stanika ryc. 3—4.



N. 8. Paletot dla młodej panienki. Patrz ryc. 12 w N. 10. Krój i opis na arkuszu Nr. I, Fig. 1—5a.



N. 9. Okrycie wiosenne dla młodej panienki. Krój na arkuszu Nr. X, Fig. 32—34a.


N. 10. Ząbki szydełkowe i tło do ryc. 45 w N-rze 10.

robiona z jedwabnej włóczki, zaczyna się na 130 o. i robi tam i napowrót podług ryc. 16, rzędami oczek śc. zajmowanych za tylne nitki oczek poprzedniego rzędu. Brzegi kwadratowej chustki oszyte koronką ręczną robioną z włóczki jedwabnej.

N. 29. Kapelusz filcowy.

Kapelusz okrągły z białego filcu ma rondko z przodu wywinięte, podszyte białym atłasem. Główka 1 cent. wysoka opasana skosem z białego atłasu, upiętym z boku w parę pukli; wielkie strusie pióro przypięte złotą agrafką zdobi wierzch główki i przechodzi pod spód rondka.

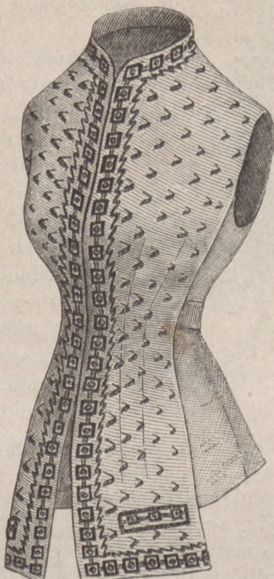
N. 30. Kamizelka z koronkowym żabotem.

Ozdobne dopełnienie modnych kaftaników, u góry otwartych podłużnie, stanowi kamizelka z żabotem przedstawiona na ryc. 30. Model uszyty z niebieskiego atłasu miał żabot fałdowany wachlarzowo z koronki wywodzonej na tiulu (dentelle bretonne), przepięty bukiecikiem kwiatów.

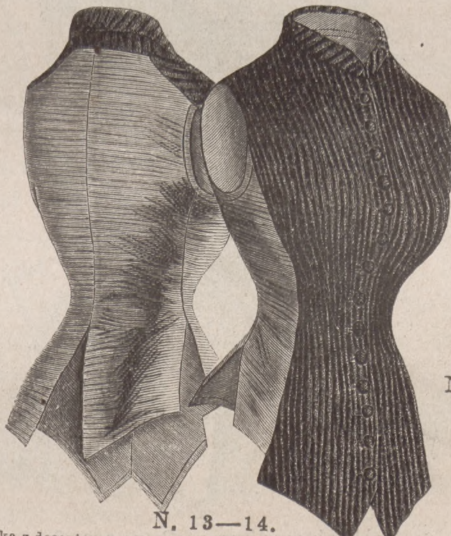
N. 31—32. Ubranie domowe.

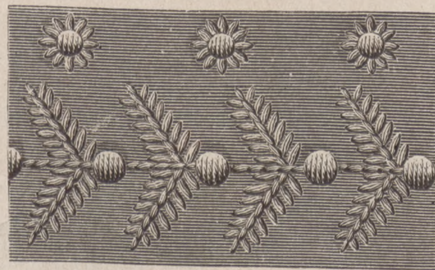
Suknia z ciemno bronzowego kaszmiru ma środkowe części pleców i środek przodów stanika, kołnierzyk i 13 cent. szerokie wykłady na rękawach dodane z bronzowego aksamitu; przy tunice dana także plisa aksamitna 7 cnt. szeroka. Wskazanie kroju tuniki podaje ryc. 32; a oznacza połowę przodu, który wsunięty jest w wykład 36 cent. szeroki, założony w miejscu oznaczonem linją kropkowaną; zaszycia dane wzdłuż u góry są mniejsze lub większe odpowienio do figury. Litera b) oznacza połowę tylnego bryta, który z obydwóch brzegów fałduje się jednakowo i zakończa u dołu plisą aksamitną. Spódnica zakończona falbaną plisowaną 29 cent. szeroką.

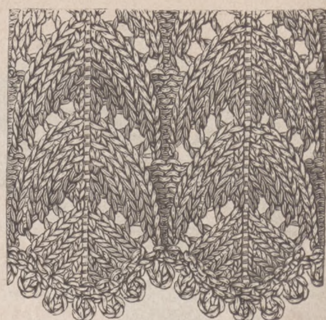

N. 12. Stanik kaftanikowy z kamizelką do ryc. 43—44. Patrz ryc. 13—15. Krój na ark. N. XI, Fig. 35—43.


N. 15. Kamizelka z białego jedwabnego repsu, ozdobiona haftem. Patrz rycina 12.


N. 18. Slaczek do ryc. 16.

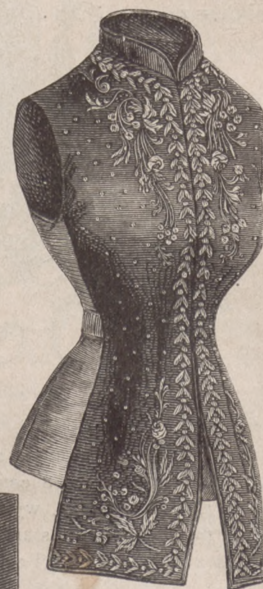

N. 13—14. Kamizelka z deseniowego aksamitu. Krój na arkuszu Nr. XI, Fig. 35—36.

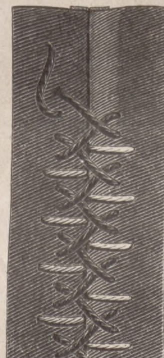

N. 17. Szlak do ryc. 16.


N. 11. Koronka robiona na drutach do ryc. 33.

N. 33. Suknia biała muślinowa.

Stanik ozdobiony wszywką 3 cent. szeroką i koronką 1 i $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką zapięty jest tylko trochę niżej stanu a u dołu odłożony jest w wykłady, dochodzące do środkowej części pleców. Na wykład potrzeba trójkątnego kawałka muślinu 57 cent. długiego z prostego brzegu; skośny brzeg przedni liczy 40 cent., tylny także skośny brzeg z końcem 16 cent. wzdłuż zaokrąglonym 30 cent. Dolny garnirunek sukni składa się z dwóch falbanek po 8 cent. szerokich, ułożonych w kontrafałdy i z bufy 20 cent. szerokiej, ozdobionej wszywką, u góry zakończonej podwójnym nagłówkiem. Na draperyę fałdowaną potrzeba prostego kawałka materyału 250 c. długiego, 56 szerokiego, złożonego w cztery fałdy, który jednym poprzecznym brzegiem przyszywa się na brycie tylnym, dalej otacza suknię a drugim końcem puszczony jest na tren i przysłania przyszycie. Wzdłuż tylnego bryta dane przepięcie złożone z paska muślinu wszywek i koronki.


N. 16. Kamizelka z wiśniowego atłasu ozdobiona haftem. Patrz rycina 18—19.


N. 19. Szlaczek ściegiem luźnym.

N. 34. Suknia muślinowa z wyciętym bluzkowym stanikiem.

Uszyta jest z bladoniebieskiego muślinu i garnirowana plisowanemi falbankami 10—12 centym. szerokiemi,


N. 20. Część haftu do ryc. 20 w N-rze 10.


N. 21. Lusterko ręczne ozdobione haftem.


N. 22. Część haftu do ryc. 15.

N. 24. Listek siatkowy do r. 23.

oszytemi z brzegu wstążką 3 cent. szeroką. Przedni bryt tuniki, wszyty razem z suknią w pasek, jest z boków fałdowany; upięcie na brycie tylnym składa się z trójkąta mającego z prostych brzegów po 96 cent. długości. Staniczek bluzkowy przybrany z przodu i z tyłu podług ryciny 34, pasek jedwabny.

N. 35—36 i 9—10. Suknia ze stanikiem z baskiną i z tunikowem upięciem.

Suknia nie sięgająca do ziemi ma spódnicę całą ułożoną w kontrafałdy, odstębnowane w odstępie 5 cent. od dołu; upięcie tunikowe składa się z trzech brytów, przykrojonych podług ryc. 36. Część oznaczona literą a) stanowi połowę przodu, który ścina się od góry skośno na 44 cent. wzdłuż a środkiem na taką długość zeszywa; brzegi bryta oszyte są 10 centym. szeroką plisą pluszową. Tylny bryt ścięty jest skośnie u dołu, u góry sfałdowany podług znaków i przyszyty na sukni; z dłuższego brzegu bocznego zakłada się fałdy w dwóch miejscach, odpowiednio do znaków danych na ryc. 36, z krótszej strony zakłada się jedną tylko fałdę na 77 cent. od góry. Kokardy ze wstążki repsowej 5 cent. szerokiej. Baskina stanika z przodu ścięta prosto, z boków otwarta z tyłu założona w kontrafałdę, ozdobiona jest guziczkami. Rękawy można przybrać podług ryc. 9 lub 10.



N. 23. Kwiat siatkowy. Patrz ryc. 24—25.

N. 39 — 41. Poduszka do kanapy, wyszyta na kanwie ściegiem gobelinowym.

Kolory włóczek użytych do haftu wypisane są na rycinie 41; rycina 42 wskazuje w naturalnej wielkości ścieg gobelinowy, zajmujący po 8 nitek wzdłuż, robiony po dwa ściegi przy sobie.

N. 25. Listek siatkowy do kwiata ryc. 23.



N. 26. Chusteczka batystowa z koronką. Deseń Fig. 30.



N. 28. Szlaczek do ryc. 27.



N. 27. Chusteczka batystowa z haftem i koronką. Patrz ryc. 28—29.

Opis do N. 10.

N. 1—3 i 13. Suknia princesse z przypinanym trenem. Krój na arkuszu z formami Nr. IX Fig. 28.

Za pomocą oddzielnie odrobionego trenu, jaki podajemy na ryc. 13, ta sama suknia stanowić może kostjum krótki spacerowy i ubranie salonowe, do którego tren przypina się pod draperyą. Do spacerowego ubrania trzeba tylny bryt draperyi, Fig. 28 d, zręcznie na przypięty tren spadającej, podpiąć w górę za pomocą pentelki dodanej przy dłuższej, bocznej stronie i guzika przyszytego do sukni; takie podpięcie widzimy na ryc. 1. Tren cały na muślinowej podszewce, u dołu listewką podszyty



N. 31. Strojny negliżyk. Patrz ryc. 32.



N. 30. Koronka tiulowa haftowana kolorowym jedwabiem. Deseń Fig. 31.



N. 32. Strojny negliżyk. Patrz ryc. 31.

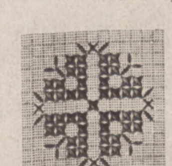


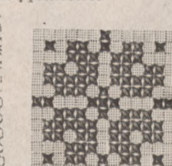
N. 36. Ubranie balowe z kirasowym stanikiem, Patrz ryc. 35.

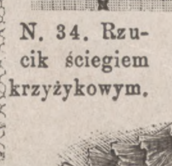
N. 37. Krótka suknia balowa formą princesse.

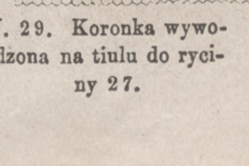


N. 35. Ubranie balowe z kirasowym stanikiem. Patrz rycina 36.








N. 33. Rzucik ściegiem krzyżykowym.

N. 29. Koronka wywodzona na tiulu do ryciny 27.

N. 34. Rzucik ściegiem krzyżykowym.



N. 38. Ubranie balowe z bluzkowym stanikiem i paskiem.

i sznurem albo taśmą obszyty, składa się z pięciu części, przykrojonych podług miary i wzoru podanego na zmniejszonym rysunku Fig. 28, litera e) f) g). Brzeg górny do 25 cent. sfałdowany, wszywa się w pasek 4 cent. szeroki, w którym robią się 3 dziurki do guzików przyszytych do sukni; w bocznych brzegach trenu daje się także po 2 dziurki, a odpowiednie guziki przyszyć na części pleców (b) w odstępie 5 c. od zeszycia ze wstawioną dla rozszerzenia częścią c). Bryt draperyi d) przypina się także do trenu. Suknię z przodu lub z boku zapinaną robi się podług zwykłej formy princesse, której miary podajemy na Fig. 28, litera a)—c). Garnirunek dolny (widoczny na ryc. 1 i 3), zajmujący 20 c, daje się i na trenie; na sukni z przodu naszyte są dwie jedna na drugą zachodzące, trochę nadmarszczone falbany 40 cent. szerokie, u dołu oszyte plisą 6 cent. i frendzlą 10 cent. szeroką, które z jednego boku są podpięte węzłami i puklami. Boczne brzegi falban podchodzą pod tylną draperyę jak na ryc. 1, albo są zakończone fałdowanem przepięciem i kokardą jak na ryc. 2. Takie przepięcie można także dać tylko z jednej strony i umieścić pod niem gładką, krytą kieszonkę. Litera d) na Fig. 28 oznacza tylny bryt draperyi któren z jednego boku przypina się w dwa pukle na sukni, z drugiego fałduje podług znaków, w górze wszywa w pasek w sposób na ryc. 13 wskazany i upina na sukni podług ryc. 2.

N. 4—10. Długa serweta ozdobiona haftem krzyżykowym i wstawką tiulową, która rozpościera się na środku obrusa.

Model serwety składał się z dwóch 46 cent. szerokich a 274 cent. długich pasów nie zbyt cienkiego, białego płótna, spojonych 13 cent. szeroką wstawką wywodzoną na tiulu i oszytych koło brzegów koronką. Deseń szerokich szlaków robionych na płótnie bawełną w dwóch lub jednym kolorze ściegiem krzyżowym, dobrać można w Tygodniku Mód z roku zeszłego, albo pomiędzy deseniami krzyżowemi. Deseń na wązkie paski płócienne, przykrywające wszycie wstawki i koronki, podajemy na ryc. 6 i 7. Deseń koronki wywodzonej na grosbotowym tiulu bawełną białą i kolorową, załączamy na ryc. 5, ten sam deseń służy na wstawkę, tylko gałązkę wywodzi się z obydwóch stron pomiędzy zębami. W miejsce tiulu można dać koronki niciane, szydełkowe albo siatkowe, których próbki załączamy na ryc. 8—10.

(*d. n*).

N. 39—43. Modne uczesania.



N. 43—44. Suknia z kaftanikowym stanikiem i kamizelką. Patrz ryc. 12—16. Krój na ark. Nr. XI, Fig. 35—44.

N. 45. Ubranie dla panienki lat 12—15.

N. 46. Ubranie dla panienki lat 10—12, Patrz ryc. 11. Krój na arkuszu Nr. III, Fig. 15—20.